

AS



Nr. 52
26 GRUDNIA 1937
CENA 40 GROSZY

Wam

WSZYSTKIM

Wam wszystkim, którzy dziś jesteście sami,
patrzycie w ciemne wigilijne niebo
zadumanemi, tęsknemi oczami...
wam, którym przecież tak serca potrzeba...

Wam wszystkim, którzy nie macie nikogo
i sami stare nucicie kolendy,
wam, którzy pustą, bezkresną drogą
idziecie, sami nie wiedząc którędy...

Dzisiaj, gdy wieczór jest taki gwiaździsty,
gdy myśl przywraca dawne słodkie chwile
dzieciństwa, mocnej radości i czystej,
i tyle wspomnień wraca, bólu tyle...

Ten wiersz pisany wigilijną nocą
przełamcie ze mną jak opłatek biały
i wiedzcie kiedy gwiazdy zamigocą:
łamiąc opłatek — z wami się łamałem.

A. TEODOROWICZ.



GWIAZDKI NRU 52:

SPECJALNY NUMER GWIAZDKOWY



Wesołych Świąt

życzy wszystkim Czytelnikom, Korespondentom i Sympatykom Magazynu »As«

REDAKCJA

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

Nr. 52
Niedziela
26. XII. 1937
ROK III

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor, prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy





„Święta Noc" — obraz Correggia w drezdeńskiej Pinakotece.

Nawet jeśli śnieg pokrył już ulice i drogi i dokoła jest biało i jasno, dni nasze jednak najczęściej idą przez szarość i ciemność. Nawet jeśli zimowym porankiem na szybie malują się srebrne kwiaty, fantastyczne zioła, a na ramionach drzew za oknem osiada kryształowa rzeźba szronu, dni nasze nie mają zazwyczaj nic w sobie z tej bajki bieli i kryształu.

No bo i cóż — „szary człowiek" to przecież właśnie my. To 90 procent społeczeństwa, obojętnie gdzie rzuconego, na jaką wieś, w jakie miasto, na jaką pracę czy bezpracę. Dni nasze są monotonne, jednakie, są — jak my — szare, a jeśli rozjaśnia je jakiś promień czy błysk, to najczęściej ten, który sami w sobie krzeszemy dla naszych najbliższych.

W codziennym kołowrocie pracy, w jednakim łańcuchu wydarzeń, biegnących zazwyczaj utartą koleiną, rzadko kiedy mamy sposobność zastanowienia się, pomyślenia, rozpamiętywania. I to, że na to nie mamy czasu — to właśnie nas ocala. Niemniej jednak, o ile sposobność na wolną dla myśli chwilę nadarzy się w jakiś dzień oczekiwany — lubimy pogrążać się w rozmyślaniach, a nadewszystko w wspomnieniach, nie baczni na to, że z krainy wspomnień częściej wraca się smutnym, niż radosnym, bo przecież wszystko, co minęło, jest piękniejsze, niż naprawdę było, a wszystkie te lata, które już odleciały w otchłań niepowracalności, należą z zasady do „dawnych, dobrych czasów", nigdy — złych...

Taka okazja do rozpamiętywania nasuwa się dorocznie — właśnie w okresie świąt.

Mimo tylu związanych z niemi kłopotów, pomimo ruchu w domu, przygotowań, zjazdu wszelkiej rodziny, gości — jednak zawsze znajdujemy taką chwilę, w której niepomni na dzień obecny, na jego troski ani uśmiechy, żeglujemy na błędnym jachcie wspomnień w ocean przeminionego czasu...

Niewątpliwie do tej refleksyjności nastraja nas w ten dzień nastrój, który wszechwładnie dokoła panuje.

Jest to nastrój świąteczny, pachnący, ciepły, nastrój choinki zielonej, która okrasza zapachem i barwą szary zazwyczaj pokój, nastrój radosnych uśmiechów dzieci, nastrój melodyj prostych, naiwnych i słów jeszcze naiwniejszych — kolend, jakże bliskich nam wszystkim, choć od ich treści odbiegliśmy na wichrze życia niepowrotnie.

A więc poprostu: nastrój dzieciństwa....

— — — — — — — — —

Życie dało nam i daje codziennie nowe wartości — dodatnie czy ujemne. W nich rozwija się nasz umysł, ostrzy nasze spojrzenie na świat, nabywamy wiedzy wszelakiej, wiadomości najrozmaitszych — aż wkońcu cenimy sobie wiek dojrzały, jako główną, zasadniczą część życia. A jednak — dlaczego właśnie do dzieciństwa powracamy, skoro ono nic warte, naiwne, głupie, zabawne, wprost śmieszne?

Dzieciństwo jest startem do życia. Lekkoatleta wytęża wszystkie siły fizyczne i umysłowe, by dobrze wystartować do biegu, bo wie, że zły start to klęska. Gdy odbijamy kajakiem od gęsto zarośniętego brzegu, staramy się jak najszybciej nadać dobry kierunek łodzi i swobodnie, zręcznie wystartować na szeroką falę rzeki, bo wiemy, że inaczej długo i mozolnie będziemy musieli odpychać się wiosłem od wiklin przybrzeża, od kamieni płytkiej wody.

Od startu zależy wszystko — a jeśli nie wszystko, to w każdym razie dużo, bardzo dużo.....

Od dzieciństwa zależy wszystko w życiu — a jeśli nie wszystko, to w każdym razie dużo, bardzo dużo...

Dlatego wracamy myślą do tego naszego startu w życie i mimowoli uprzytamniamy sobie, jak startowaliśmy, a raczej jak nas wystartowano... I z biegiem lat nabierając mądrości życiowej i doświadczenia, oceniamy wciąż pod nowym kątem widzenia ten nasz start, to, co od nas odsuwa się coraz dalej z każdą chwilą i z każdą chwilą przez to nabiera coraz piękniejszego rumieńca, coraz żywszych barw....

— — — — — — — — —

W dzień wigilijny dzieci kolendują przy choince i radośnie klaszczą w małe rączki na widok prezentów — darów od aniołka — a starsi — starsi patrzą na migocące światełka świeczek — i myślą wracają w dni, gdy i oni tak klaskali w ręce i tak cieszyli się i tak wierzyli...

Wraca się wtedy w to, co przeminione i widzi się znów to, czego niema.

Twarze, które zniknęły.
Słowa, które przebrzmiały,
Uczucia, które wygasły.
Wracają wszystkie...

Słyszymy tesame kolendy, jak dzisiaj — ale brzmią one całkiem inaczej. Widzimy choinkę tak podobną do tamtej — a jednak to nie ona, to choinka całkiem inna. Ta jest z rynku, a tamta była z bajki...

I dzień jest takisam i wigilja i wszystkie rekwizyty tesame — a jednak wszystko jest inne.

Widzimy nas samych, nasze dziecinne twarze, przypomniane z spłowiałych fotografij — pod drzewkiem, w zachwycie, w zająknieniu, w słodkiej obawie, w radosnem spodziewaniu i słyszymy szmer skrzydeł anioła, który później już nigdy do nas nie przyleciał.

Odczuwamy słodycz legendy, którą nam dano w dzieciństwie — i tem silniej gorycz rozczarowania, którą przyniosło nam potem życie.



Jakże często twarz anioła zlewa się wtedy z twarzą matki, młodej, uśmiechniętej — z twarzą, która została już tylko w albumie z fotografjami.

I tak na skrzydłach tego nastroju biegniemy wstecz, do pokoi życia już na zawsze zamkniętych, w ciemność przepadłą, w której migoce tylko jak jedyny znak kierowniczy — światełko z choinki.

I wtedy czyni się dokoła jasno — wtedy dopiero. I może być szaro i smutno i źle — a jednak wtedy jest jasno i dobrze...

Oczyma ponad latami obserwujemy nasz start — nasz start z pod choinki, z dziecinnego pokoju, z dziecinnych uczuć, z ramion matczynych, z zaczarowanego świata lalek i misiów, obrazkowych książeczek — z kręgu dobroci i miłości, którą jedynie widzieliśmy wtedy wszędzie, tem więcej i tem silniej, im więcej nas naprawdę otaczała.



Drzewko wigilijne w r. 1937.
Fot. Dr. K. Maślankiewicz.

Oto dzień jedyny w roku, dzień wyczarowany choinką, kolendą, radością dziecka. Dałby on nam może więcej, dałby coś, coby jaskrawiej zostało — ale cóż... niema na to czasu... Trzeba wracać przecież do normalnego życia i gości witać i domem się zajmować i po krótkich dniach świąt do pracy normalnej powracać, do wszystkich kłopotów i zwykłych zmartwień, zwykłych blasków, zwykłych, jednakich godzin.

To jest taki coroczny benefis dobra, którego pokład, choćby najcieńszy, leży w każdym z nas, głęboko schowany, z trudem ocalany w walce codziennej — w codziennej rzeczywistości. Taki coroczny benefis wzruszeń innych, niż wszystkie inne i myśli innych, i wrażeń najgłębszych — benefis naszego dzieciństwa, naszego startu do życia...

Po przeżyciu jego — wracamy do normalnego widowiska, w którem jesteśmy szarymi aktorami...

Ale wiemy tylko jedno: że to my, naprawdę my byliśmy „tam" i „to", naprawdę „to" właśnie stamtąd zabraliśmy i ukryliśmy skwapliwie — jak łzy kryje mężczyzna — na dnie naszej świadomości, by tam było. Wrócimy do tego skarbu — za rok, o ile gdzieś w jakimś lesie rośnie to drzewko, które przeznaczył los dla naszych oczu na przyszłą wigilję.

Witold Zechenter.

„KIJUTSU—KYOKU"

STAROJAPOŃSKIE ZABOBONY

Mieczysław Turski

Urocza japońska musme Fan-Sama czyli panna Źródło, podobnie jak niemniej poetyczne imiona noszące pozostałe jej skośnookie siostrzyce, zbudzona ostrym, metalicznym dźwiękiem dzwonka, którym sędziwy stróż nocny oznajmia domownikom, iż daleki horyzont zaróżowiła już poranna zorza, zerwawszy się z szerokich wygodnych mat „tatami", zaledwie zarzuci na ramiona barwne kimono i przewiąże je szerokim pasem „kawaoli", bieży drobnemi kroczkami ku głębokiej nyży, zwanej ,tokanoma", aby spojrzeć na zdobiący jej wnętrze skarłowaciały kwiat hetimy, chryzantemy czy wiśni.

Zapytana dlaczego to czyni dzień w dzień przez długie lata aż do chwili zamążpójścia, nie potrafi znaleźć ścisłej odpowiedzi. Co najwyżej w przystępie dobrego humoru, zwierzy się swej europejskiej przyjaciółce, że słyszała od swych starszych sióstr, iż w ten sposób postępowały jej antenatki jeszcze w starożytnym okresie historycznym „Nara", gdy arystokracja kładła podwaliny pod pełen etykiety ceremonjał dworski. Dla poszanowania tradycji i ona Fon-Sama, pragnąc być godną następczynią kobiet swego rodu trzyma się ściśle przepisów kodeksu obyczajowego uznanego jeszcze przed wiekami przez czcigodne poprzedniczki, szlachetne małżonki słynnych daimio i walecznych samurajów. Lecz panna Źródło nie przyzna się nikomu, iż tylko dlatego skoro świt, pospiesza bodaj przelotnie spojrzeć na dekoratywny kwiat w nyży „takonoma", bowiem wierzy w prawdziwość odwiecznego przesądu, który głosi:

„Dziewoja, rankiem, pieszcząca pęki
kwiatów wzrokiem,
Przecudowną ich krasę dla siebie zyskuje
Lica gładkie na długie lata otrzymuje
Dziewoja, rankiem, pieszcząca pęki
kwiatów wzrokiem".

Wedle prastarego mitu zabobonowi tego rodzaju miała hołdować nawet bogini Amaterasu-no-mikami, niebiańska opiekunka „Mizuho-no-kuni" czyli krainy świeżych kłosów ryżu, jak się w prehistorycznym okresie dziejów zwała dzisiejsza kraina Wschodzącego Słońca.

Przykład wielkiej bogini, żywicielki archipelagu wysp japońskich, skłonił wszystkie córy kraju Kwitnącej Wiśni do pójścia w ślady owej patronki dziewcząt i stąd właśnie pochodzi zabobonna wiara Japonek w skuteczność całego szeregu przesądów.

A podają ich bez liku dwa arcydzieła prozy japońskiej „Gendzi Monogatari" i „Makura-no-sosi", perły literatury wyszłe z pod piór japońskich sawantek jeszcze w dobie Heian, epoce synkretyzmu religijnego, otoczonego nimbem mistycyzmu propagowanego żywo przez kobiety, nadające ton ówczesnemu życiu.

Zresztą nie tylko płeć piękna, lecz i kasta rycerska poczęła u kolebki cywilizacji japońskiej hołdować urokowi tajemniczych zabobonów, zbliżonych niekiedy nawet do iście czarnoksięskich praktyk.

Zetknięcie się z kulturą chińską i przepojenie umysłowości dogmatyczną doktryną sintoizmu, w erze jej pełnego rozkwitu, liczącej przeszło osiem miljonów bóstw, przyczyniło się walnie do uznawania przez wszystkie warstwy społeczne zagadkowych przesądów i wiary w wielce oryginalne zabobony.

„Hanasika", sędziwi gawędziarze, roztaczający przed zasłuchaną rzeszą cuda zaklętego świata baśni, pouczali młodzież, iż nawet wzór dycerskich cnót, wielki Momotaro-San, bohater mitów narodowych, poddawał się tajemnym gusłom.

Udając się na daleką wyprawę ku brzegom wyspy demonów Onigaszima, w celu poskromienia zuchwałości i ograniczenia zasięgu niesamowitych mocy owych nadziemskich tworów, spożył wraz z wiernym sobie psem kluseczki „kibidango", dające bystrość umysłu i dodatnio wpływające na krzep-

kość całego organizmu. To też po dziś dzień „ko" czyli dzieci japońskie, w doniosłych chwilach swego młodocianego życia w sposób nader uroczysty, przy zachowaniu odpowiedniego ceremonjału, odżywiają się smacznemi kluseczkami.

Rok rocznie, jak Japonja długa i szeroka, obchodzone bywa z wielkim pietyzmem w dniu 3 marca „święto lalek", stanowiące zarazem dzień świąteczny wszystkich dziewcząt. I nie znajdzie się wówczas na całym archipelagu dziewoji, któraby w brzasku dnia nie złożyła swej lalce tradycyjnego ukłonu. Sprofanowanie tego święta i związanej z niem etykiety, grozi bowiem zemstą ze strony duszy lalki.

Podobnie, gdy na kalendarzu pozostaje jeszcze tylko jedna kartka, oznaczona napisem „Omisoka" — odpowiadającym europejskiemu dniu sylwestrowemu — większość obywateli cesarstwa wśród czołobitnych pokłonów połyka kawałek nitki, mającej zapewnić z nowym rokiem bogactwo i wszelaką pomyślność.

Nazajutrz zaś w dniu, „guadzitsu" czyli noworocznym, ogół mężczyzn zachowuje milczenie, bowiem nadmiar słów zbudziłby drzemiące demony, które zakłócenie chwil spoczynku, pomściłyby w straszliwy sposób, rzucając na cały ród groźne choroby ciała i umysłu.

Choroba zagości również w domu, w którym na skutek niezgrabności gospodyni podczas ceremonjału picia herbaty t. zw. „ciano-ju" kilka kropel zielonkawo-złotego płynu upadnie na matę lub „zabuton", poduszkę do siedzenia.

Kto zaś, przebywając samotnie w pokoju, kichnie, może być pewny, iż właśnie w tej chwili w najbliższem sąsiedztwie wychwalają jego osobę. Dopiero trzykrotne kichnięcie wróży zatarg z sąsiadem, a czterokrotne zawód w miłości.

Innego rodzaju przesąd stanowi liść herbaty znaleziony na dnie filiżanki. Jeżeli odnajdzie go pani domu, niechybnie zjawi się jakiś gość zdaleka, gdy zaś liść pływa w filiżance osoby zaproszonej, oznacza, iż ktoś opuści dom głodny.

Przypadkowe znalezienie pieniądza w uroczystym dniu „daidzioe", będącym dniem dziękczynienia po wstąpieniu na tron nowego cesarza, wróży bogactwo i zaszczyty w najbliższym czasie.

Starojapońskie przesądy chronią również zwierzęta i płazy przed śmiercią. Popularny zabobon głosi, iż dziecko, które zabija żabę, naraża się na przykre następstwa, bowiem przez całe życie będzie mu drgała ręka przy pisaniu. Gdy zaś pozbawi życia kota, wyrzuty sumienia dręczyć je będą przez siedem lat.

Przez siedem lat nie będzie się również wiodło kobiecie, jeżeli jej igła wypadnie z ręki wprost do wody lub łzy staną w oczach na widok rzeki czy morza.

Nader popularny przesąd zobowiązuje każdego kawalera, opuszczającego świątynię sintoistyczną do rzucenia kamyczkiem na wąski brzeg dachu, typowej bramy zwanej „torii". Jeżeli kamień przypadkowo zatrzyma się na wąskiej krawędzi dachu, jest to nieomylny znak, iż jeszcze w tym roku mężczyzna ów poślubi dorodną kobietę.

Niewiasta natomiast, o ile w „tango no sekku" — święto chłopców — przez cały dzień nie spojrzy w zwierciadło, aż dopiero wieczorem, ujrzy w jego szklanej tafli swe przeznaczenie. Takiej jednak kobiety nie można dziś znaleźć w Japonji, bowiem skośnookie córy krainy Kwitnącej Wiśni używają lustra jeszcze częściej, aniżeli ich europejskie czy amerykańskie siostrzyce.

O wiele namiętniej jednak hołdują tradycyjnym zabobonom i to zarówno przyodziane w staroświeckie kimona „musme", jak też na modłę europejską noszące się „mona" — japońskie emancypantki, walczące o prawa kobiet.

Najwięcej bowiem hołdują przesądom serca zakochane, a któraż z cór Ewy, nie kochała chociaż raz?

Słusznie więc mówi ludowa piosenka japońska:

„Miłość ze swemi powaby
I zabobonów urokiem
Jest jak most giętki i słaby
Ponad słów rwącym potokiem
Wypełnij przesądy ma słodka
A wstąpisz na most miłości
Wówczas cię luby napotka
I radość w twem sercu zagości".

KĄCIK

FILATELISTYCZNY

Czy może być piękniejszy prezent dla młodego chłopca na gwiazdkę jak album na znaczki? Każda zabawka musi się znudzić w krótkim okresie czasu, tymczasem jednak filatelistyka jest bardzo, a bardzo długotrwałą przyjemnością. Nie jest też sporadycznym wypadkiem, że ten i ów tatuś, który zarzucił gdzieś dawno swoją kolekcję, zaczyna dzisiaj zbierać znowu znaczki wraz ze swym synem, no i wydawać na to grube pieniądze.

Kulminacyjnym punktem, do którego dochodzi bardzo mało zbiorów, jest oczywiście wystawa filatelistyczna. Może przesadą jest porównanie jej do wystawy obrazów, bo tu mamy do czynienia wyłącznie z oryginalnemi dziełami sztuki, a na znaczkach widzimy tylko reprodukcje w miniaturach najznakomitszych kompozycji obok bohomazów znajdujących tam tylko dlatego, że są niezmiernie rzadkie.

10 lat temu zorganizowano w Warszawie wielką wystawę filatelistyczną, a inne duże imprezy tego rodzaju odbyły się, jak wiadomo, przed kilku laty w Katowicach i Toruniu, nie mówiąc już o pomniejszych jak w Grudziądzu itp. Teraz możemy już zapowiedzieć wielką wystawę, która odbędzie się w Warszawie w przyszłym roku (prawdopodobnie z końcem maja). Polski Związek Stowarzyszeń Filatelistycznych, pod którego egidą przygotowuje się tą ekspozycję, otrzymał już zapewnienie subwencji od M. P. i T. i dzięki temu będzie można uzyskać odpowiednie ramy organizacyjne.

Otóż subwencja ta nie będzie kosztowała rządu ani jednego grosza! Jak to możliwe! Odpowiedź potrafi dać na to pytanie każdy doświadczony zbieracz. Otóż Ministerstwo Poczt zezwoliło na wydanie pamiątkowego znaczka w bloku. Cena nominalna wynosić będzie jednego złotego, ale otrzymać go będzie mógł tylko ten, kto przedstawi przy okienku urzędującym w czasie wystawy bilet wstępu (a 1 zł.). Nakład ma wynosić 30.000 bloków, czyli że dzisiaj już komitet organizacyjny mógłby sprzedać „na pniu“ 30 tysięcy biletów, gdyby mógł zagwarantować któremukolwiek kupcowi zbycie całego kompletu. Ale takie spekulacje są naturalnie wykluczone i wszystko odbędzie się w największym porządku: każdy klub otrzyma odpowiedni przydział dla członków, a wszyscy kupcy z branży filatelistycznej będą mogli dysponować proporcjonalnemi kontyngentami. — Tak czy owak już dzisiaj wiadomo, że ani jeden blok nie przetrwa owego „tygodnia znaczka“, bo przy nakładzie o tej wysokości cena handlowa musi się ustalić na conajmniej 6 do 8 złotych i nikt nie opuści okazji zrobienia dobrego interesu.

Naogół biorąc w chwili obecnej „bloko-manja“ trochę osłabła, czego dowodem są podane niżej ceny żądane przez jedną z największych belgijskich firm. Mają one bardzo wielkie znaczenie orjentacyjne: np. Polska 1937: 8, 10 zł., Lu-

Dok. na str. 38.



Znaczek holenderski wydany na cel opieki nad dzieckiem.







U góry: Znaczki lotnicze Liberji i najnowszy znaczek egipski z portretem króla Faruka.

Polski znaczek z kasownikiem wprowadzonym z okazji zjazdu Związku polskich Stowarzyszeń Filatelistycznych.

Pomysł Piotra Wallorthy

J. F. HARRER

NOWELA

Historja, którą opowiem, wydarzyła się rzeczywiście w podobny sposób. Zdarzenie samo, użyte jako temat, zostało rozszerzone i może przez to wykrzywione do groteski. Ale to nic nie szkodzi. Zabawcie się szanowne czytelniczki i czytelnicy, a autor tych wierszy nie ma nic przeciwko temu, jeżeli fantazja poniosła go poza granice wydarzenia, które jednak mogło nastąpić, gdyż nic na świecie nie jest niemożliwością! Zmieniamy imiona, miejscowość, warunki i zaczynamy!

Pewnego dnia przyniosły codzienne dzienniki Nowego Yorku następujące ogłoszenie:

„30-letni miljoner, wykształcony, muzykalny, sportowiec o sympatycznym wyglądzie, uczuciowy, ma uczciwy zamiar poślubienia młodej, pięknej dziewczyny. Tylko te panie wchodzą w rachubę, które pod każdym względem podobne są do bohaterki romanssu „Intermezzo z Eweliną“ Piotra Wallorthy. Zgłoszenia pod „Sperante 511896“ i t. d.

Ogłoszenie to przeczytało parę miljonów panien. Trzeba też wiedzieć, że w kraju toczącego się dolara, miljonera nie łatwo dostać jako męża albo zięcia. Czy można się dziwić, że w tym czasie prowadzone były wiele tysięcy razy z małemi odmianami, tego rodzaju rozmowy.

Matka: — Marion, masz sobie jeszcze dzisiaj kupić ten posępny romans, tu są na ten cel dwa dolary. Do jutra przeczytasz go i napiszesz temu panu miły list.

Ojciec: — Bessie, idź szybko do księgarni i kup sobie „Intermezzo z Eweliną“, może będziesz miała szczęście. Miljon nie leży każdego dnia na ulicy.

Ciotka: — Ewelino, już twoje imię powinno cię zachęcić do przeczytania romansu. Tu masz 3 dolary kup sobie tę książkę.

Córka: — Matko, muszę sobie kupić tę książkę. Zięć miljoner był zawsze twojem marzeniem.

Naco opisywać inne rozmowy? Wystarczy powiedzieć, że dnia tego romans „Intermezzo z Eweliną“ w pół godziny był rozsprzedany. 10.000 egzemplarzy było rozdanych; panny i mężatki szturmowały do księgarni, zatrzymano ruch uliczny, gdyż obawiano się demonstracji. Księgarze byli bezradni. Dziesięć drukarń musiało swoje prace przerwać i zaraz drukować romans z Eweliną. Wyrywano sobie jeszcze wilgotne egzemplarze.

Jeszcze dziesięć innych drukarni musiało być wziętych do pomocy. Dzienniki pisały długie artykuły. Kto był Piotr Wallorthy? Co dotąd napisał? A jego romans? Nie był gorszy, ale i nie był lepszy od romansów, pojawiających się dziennie i to najwyżej w liczbie 10.000 egzemplarzy. „Intermezzo z Eweliną“ przyniosło w jednym tygodniu nakład, złożony z 20.000 egzemplarzy.

Kto był szczęśliwym autorem?

Zwróćmy się wstecz o jeden miesiąc. Młody powieściopisarz Potr Wallorthy siedział zdenerwowany u pana Brooxie, jednego wydawcy.

— Kochany Wallorthy, to jest niemożliwe, nie mogę ryzykować. Romans pański „Intermezzo z Eweliną“ nie jest zły, nie. Ale, niech się pan zastanowi! Pisze pan do tej pory tylko do nieznanych magazynów w Texas, Oklahoma i Nebraska. Jest pan dopiero od miesiąca w Nowym Jorku. Nikt pana nie zna. Nie mogę tego ryzyka brać na siebie.

— Panie Brooxie, proszę, niech pan wydrukuje jeden nakład, złożony z 10.000 egzemplarzy. Jeżeli w jednym tygodniu po pojawieniu się książki, przynajmniej 7000 egzemplarzy nie będzie sprzedane cały nakład sam zapłacę. Więc?..

— O tem da się już pogadać. Zrobimy układ.

W trzy tygodnie potem pojawiła się książka w wystawnem wydaniu w cenie 2 dolary. Leżała parę dni niezauważona w księgarniach. Piotr Wallorthy łamał sobie głowę. Posiadał jeszcze 50 dolarów i widoki na zapłacenie wydawcy w niecałych dwóch tygodniach kwoty 20.000 dolarów.

Co miał począć? Właśnie szedł przez Wallstreet. Stanął przed Giełdą: Tak, panowie, którzy wychodzili po schodach do budynku, ci miljonerzy napewne zawdzięczali swoje bogactwa tylko dobremu przypadkowi, jakiemuś pomysłowi. A on, Piotr Wallorthy, powieściopisarz, pełen fantazji,

Dokończenie na str. 16



DLACZEGO PANI NIE *Zaproszono?*

Pani nie zaproszono? — a dlaczego? Gdzieś przecie tkwi przyczyna. Proszę zrobić mały rachunek sumienia, aby się przekonać, czy wszystko w pani zachowaniu odpowiada przepisom bon ton'u. Napewno zyska pani tylko na tem. Przeprowadzając sama z sobą tę małą ankietę, musi pani przyjąć, że odpowiedź **„nie"** *na poniższe pytania oznaczyć trzeba:* **0** *— odpowiedź* **„czasami"**: **1** *— odpowiedź* **„często"**: **2** *— zaś odpowiedź* **„z reguły"**: **3.** *Cyfry oznaczają punkty, które na końcu należy dodać, a suma będzie wykładnikiem opinji, jaką się pani cieszy w kołach swych znajomych. Być może, że odpowie pani na każde pytanie „nie"; byłaby to sytuacja wprost idealna. Ale może się zdarzyć, iż na wszystkie 30 pytań będzie pani musiała odpowiedzieć „z reguły", a wówczas lepiej nie mieć żadnych nadziei na przyszłość. Więc zaczynajmy:*





Nie należy nadużywać miłych pogawędek.

A) PODCZAS ROZMOWY:

1. Czy nie przerywa pani rozmowy w polowie, mówiąc: „Czy jest pan pewny, że mu już tego nie opowiadałam?", lub „Na czem to skończyłam...?", albo „Nie przypominam sobie dokładnie..." i t. d.?
2. Czy wyraża się pani przychylnie i miło o panach, którzy panią emablują, lub emablowali?
3. Czy posługuje się pani drobnemi, a mało przekonywującemi kłamstewkami dla oszczędzenia miłości własnej (ambicji)?
4. Powtarza pani plotki?
5. Czy odpowiada pani na pytania: „No więc! tak czy nie"?
6. Może mówi pani tonem protekcjonalnym: „Mężczyźni lubią, gdy się o nich mówi" — „Żeby podobać się mężczyźnie wystarczy...", lub: „Mężczyźni są jak dzieci..."?
7. Czy w rozmowie pyta się pani mężczyzn, jakie są ich dochody?
8. Czy używa pani publicznie czułych słówek?
9. Lubi pani się rozwodzić nad swojem wykształceniem (wiedzą)?
10. Czy omawia pani z najdrobniejszymi szczegółami sprawy mody, przyjęcia, na których pani nie było, filmy, których pani nie oglądała, a na których ma pani zamiar dopiero być?, operacje, sprawy sercowe swoich przyjaciółek, swoje osobiste i rodzinne kłopoty?
11. Czy zwraca pani komuś uwagę na to, że coraz bardziej łysieje?

B) NA BALU:

1. Czy wymaga pani od swego towarzysza, by chował po kieszeniach smokinga czy fraka pani grzebyk, puderniczkę, pomadkę do ust i t. d. i t. d.?
2. Czy lubi pani gestykulować rękami w czasie tańca?
3. Czy nie rozmawia pani przypadkiem krzykliwie?
4. Czy spogląda pani na innych z za pleców swojego dansera, nie słuchając, co on do pani mówi?
5. Czy nie mówi pani: „Najlepiej tańczą walca Austrjacy", podczas gdy pani danser „robi bokami", by taniec z panią wypadł jak najlepiej?

C) PRZY TELEFONIE:

1. Czy nie odkłada pani ostatecznej decyzji przy zaproszeniu, mówiąc: „Proszę mi później przypomnieć...", lub: „Już się umówiłam, ale postaram się zwolnić...", albo: „Nie wiem jeszcze, czy będę wolna..."?
2. Czy zalicza się pani do kobiet, uwieszonych godzinami przy słuchawce telefonicznej?



Nie uważaj kieszeni swego towarzysza za schowek dla różnych drobiazgów.

3. Czy wzywa pani do telefonu w niedzielę wczesnym rankiem przyjaciół i znajomych, budząc ich ze snu?
4. Czy dzwoni pani często do znajomych podczas ich pracy w biurze?
5. Czy uważa pani za stosowne odpowiedzieć, że ma pani wieczór zajęty, ponieważ zaproszenie przyszło w ostatniej chwili?
6. Czy rozstrząsa pani szczegóły własnych i cudzych projektów przed daniem odpowiedzi na zaproszenie, mówiąc: „Na wtorek jestem zaproszona, we środę gram w brydża“ i t. d.?
7. Czy stara się pani naprzód dowiedzieć, w jakim lokalu spędzi się wieczór na skutek zaproszenia?


Uwolnij tych, którzy są na końcu drutu...

D) W SAMOCHODZIE:

1. Czy podczas jazdy potrąca pani często kolanami przekładnię biegów?
2. Gdy grozi pani spisanie protokółu — czy stara się pani wówczas o „dyplomatyczne załatwienie sprawy“?
3. Czy nie żąda pani od kierowcy, by oglądał przedmioty pani zachwytu, zamiast patrzeć na to, co się dzieje na drodze?
4. Czy nie zachwyca się pani piękniejszymi i szybszymi samochodami od tego, którym pani właśnie jedzie?
5. Czy udziela pani może rad i wskazówek kierowcy, jak należy prowadzić samochód?


Z policjantem nlema rozmówek dyplomatycznych.

E) W RESTAURACJI:

1. Czy długo się pani zastanawia nad wyborem potraw?
2. Może mówi pani za wiele, nie dopuszczając współtowarzyszy do rozpoczęcia obiadu?
3. Czy wybiera pani, będąc proszona, najdroższe potrawy?
4. Gasi pani papierosa na talerzu?
5. Czy pozostawia pani ślady kredki do ust na serwecie lub szklance?
6. Może rozwodzi się pani nad smukłością „linji“ i nad tem, co jej zaszkodzi?
7. Czy nie przerywa pani rozmowy na to tylko, aby zamówić jakąś potrawę u maitre d'hotel'a?


Kobieta wybiera potrawy, ale ich nie „zamawia“.

F) Z NARZECZONYM:

1. Czy sprawdza pani, co on robi przez cały dzień?
2. Czy nie zawiele opowiada pani przyjaciółkom o swem narzeczeństwie?
3. Może wymaga pani od narzeczonego, by na każdym kroku zapewniał panią o swej miłości?
4. Czy nie podejrzewa pani kobiet, z któremi on pracuje w jednem biurze?
5. Może pozwala sobie pani na częste używanie zwrotu: „Gdybyś mnie kochał, tobyś to zrobił dla mnie...“?

G) W INNYCH OKOLICZNOŚCIACH:

1. Czy ma pani zwyczaj rezygnowania z zaproszenia na rzecz czegoś przyjemniejszego?
2. Każe pani na siebie czekać?
3. Czy mówi pani do siebie na głos na ulicy?
4. Czy lubi pani pozować na niewiniątko?
5. Czy okazuje pani na zewnątrz swoje niezadowolenie, gdy np. sztuka w teatrze lub przyjęcie nudzą panią?
6. Czy zadaje pani sobie wiele trudu, by dowieść innym, jak wielkie ma pani powodzenie?
7. Może traktuje pani czyjeś grzeczności i uprzejmości jako objaw sam przez się zrozumiały i pani należny?
8. Czy przychodzi pani do kina w dużych kapeluszach?
9. Czy poświęca pani dużo czasu na maquillage i czesanie?
10. Czy rzadko zaprasza pani znajomych, rewanżując im się za ich zaproszenia?


Nie należy zmuszać do sztucznych wyznań.


Pani zapomniała? — on napewno nie zapomni!

Po wypunktowaniu odpowiedzi na wszystkie 50 pytań dodajemy punkty i jeżeli ich suma waha się pomiędzy: 5 a 50, to sytuacja jest naprawdę wyjątkowa i należy wówczas różowo patrzeć na świat — od 51 do 70 sytuacja przedstawia się dobrze — od 71 do 90, już całkiem przeciętnie — od 91 do 105 sytuacja słaba — od 106 do 120 jest jeszcze znikoma nadzieja — od 121 do 135 to już źle — a od 136 do 150 wszystkie nadzieje stracone!

BRUMMEL.

Jak POWSTAJE NOWELA?

Człowiekowi nie obeznanemu ze zwyczajami i obyczajami osobnika zwanego literatem, wydaje się z pewnością, że napisanie utworu literackiego, np. noweli, odbywa się w ten sposób.

Po wytwornym obiedzie, złożonym z zupy, mięsa, jarzyny, leguminy, czarnej kawy, likieru, sera, owoców, wina, śpiewu i kobiety, literat siada przy cichopiszącym Remingtonie, puszcza na gramofonie płytę z sonatą patetyczną i zaczyna pisać. Nim gramofon „wyrzępoli" wspomniany utwór — nowela zostaje napisana.

Może zresztą gdzieś tak bywa na świecie. Może żyje gdzieś literat, posiadający cichopiszącego Remingtona i płytę gramofonową z sonatą patetyczną. Na świecie dzieją się bowiem czasem rzeczy, o których nie śniło się nietylko filozofom, ale nawet... sennikowi egipskiemu.

Jak jednak w 999 wypadkach na 1000 powstaje nowela?

Wyobraźmy sobie literata. To nic trudnego. Para starannie wyczyszczonych bucików + spodnie barwą i deseniem ignorujące marynarkę + ślady atramentu na palcach i kołnierzyku. Przypuśćmy, że pewnego dnia nasz literat zjadł tak zwany wytworny obiad, złożony z ćwierćkilowej porcji chleba i szklanki herbaty. Jest więc syty; zdołał bowiem zaspokoić wszystkie pięć zmysłów. Wzrok, smak, dotyk, węch i słuch. Idzie ulicą i rozmyśla, jak zwykle w takich chwilach, o harmonicznem zestawieniu pojęcia „praca" z pojęciem „zarobek". Bowiem każdy literat, jeśli jest syty, myśli o tak zwanych niebieskich migdałkach. Jeśli jest głodny — również. Ale nie mówmy o głodnym człowieku. Wyobraźmy więc sobie sytego literata, idącego rozsłonecznioną (koniecznie!) ulicą i wmyślonego w wiadomy niebieski migdałek. Nagle... takie rzeczy zawsze dzieją się nagle... nasz literat czuje, że ktoś go trąca po głowie. Stwierdza: dachówki.

I oto geneza noweli. Literat pędzi do domu, siada na złamanym stołku, wyjmuje z kieszeni doskonale obgryziony ołówek i pisze: z drugiej plik papierowych serwetek „pożyczonych" w restauracji i... zaczyna pisać:

Skreśliwszy pierwsze zdanie noweli:

„Jan szedł ulicą" —

przerywa, by zastanowić się nad rytmiką brzmienia stworzonej myśli. Po pewnej chwili dochodzi do wniosku, że słowa „szedł ulicą" brzmią jak „szet łulicą", wobec czego przerabia to zdanie na inne, które brzmi:

„Jan wyszedł na ulicę".

Teraz nasz literat znowu odkłada ołówek i kilkakrotnie głośno wymawia owe słowa. W ostatecznym wniosku wyrzuca ulicę

„Jan wyszedł z mieszkania".

Ponieważ powyższe zdanie podoba się bez zastrzeżeń jego duchowi literackiemu, nasz literat pisze dalej:

„Zamknąwszy drzwi starannie, zszedł schodami wdół, a po chwili odczuwał już na twarzy chłodny powiew wiatru".

Napisawszy to, nasz literat przymyka oczy i stara się wyobrazić sobie stworzony obraz. W pewnym momencie owego wysiłku dochodzi do wniosku, że słowo „starannie" jest niepotrzebne — jak również słowo „wdół", jako, że nikt nie schodzi schodami wgórę.

Poprawia więc:

„Zamknąwszy drzwi, zszedł schodami...".

Nie kończy jednak zdania, bowiem równocześnie myśli:

...Co za banalny, beztreściwy obraz!...

Niszczy serwetkę, bierze drugą i rysując na niej jakiś zawiły wzór, kombinuje:

— Dlaczego... Jan? Dlaczego nie Tertuljan? Dlaczego wogóle mężczyzna?

Jest odrobinę zdenerwowany. Wreszcie zaczyna znowu pisać:

„Właśnie Iga zamierzała wyjść z domu...". Przerywa, albowiem jak apopleksja uderza w niego fakt identyczności pomyślanego obrazu z poprzednim, który przecież odrzucił, jako banalny i beztreściwy.

— Trzeba dać sobie spokój z tym wychodzeniem z domu — mruczy do siebie. Pisze:

„Właśnie Iga zamierzała położyć się spać, gdy naprzeciwko w oknie zabłysło światło".

Teraz już nasz literat jest najwyraźniej zachwycony stworzonym obrazem. Uważa, że jest on pełny, wyrazisty i kontrastowy barwowo.

— Piszmy dalej — mówi do siebie.

„Drgnęła".

— Dlaczego drgnęła? — pyta go jego duch literacki.

— Dlatego, że się przestraszyła — odpowiada duchowi.

— W XX wieku? — pyta duch.

— Macie rację — mruczy literat i drze serwetkę. Trzeciej nie wyciąga już z kieszeni. Nie ma sił. Jest wyczerpany. Siedzi bez ruchu. Potem wstaje, wychodzi, zamyka starannie drzwi za sobą, schodzi schodami wdół, odczuwa na twarzy chłodny powiew wiatru, wraca do domu, zamierza iść spać; po drugiej stronie ulicy zabłysło światło w oknie; przestraszył się.

W kilka sekund później chwyta się za głowę, coś bełkocze, siada na złamanym krześle, wyciąga z kieszeni serwetkę papierową, obgryziony ołówek i zaczyna pisać:

„Jan wyszedł z mieszkania. Zamknął za sobą drzwi starannie i zszedł schodami...

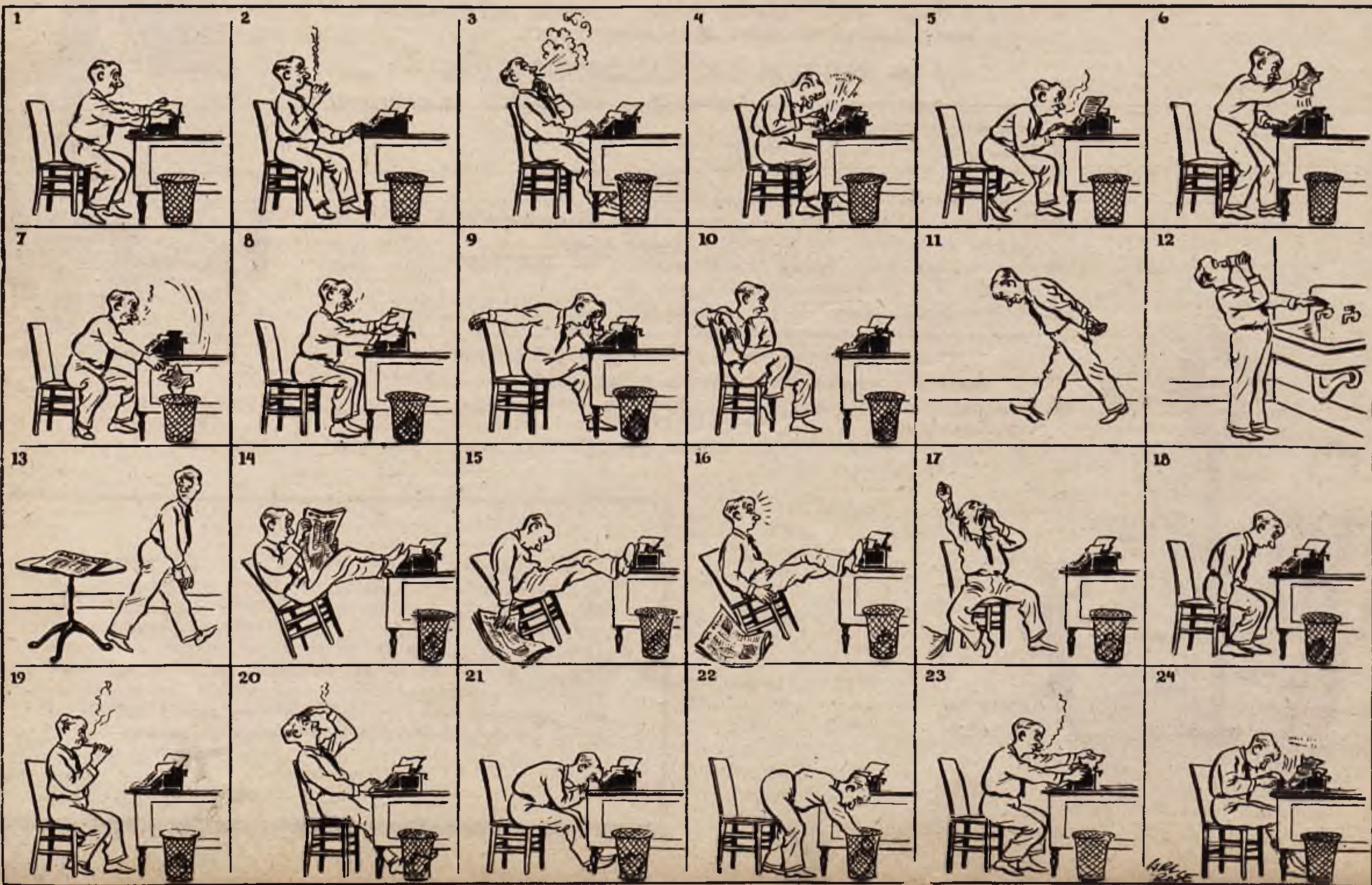
— — — — — — — —

W dwie godziny później nowela została napisana, przeczytana, poprawiona i przepisana.

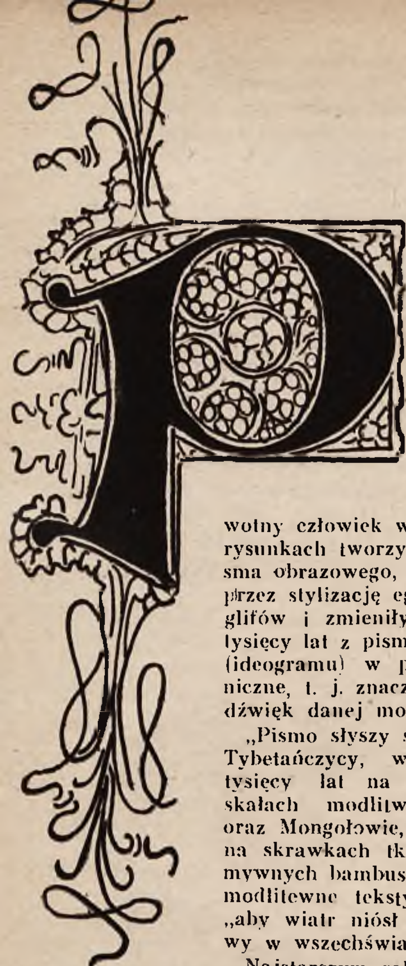
Literat kładzie się spać. Rano wstaje, czyta jeszcze raz stworzone arcydzieło, a potem flegmatycznym ruchem wyrzuca ją do kosza.

Tak właśnie w 999 wypadkach na 1000 powstaje utwór literacki, zwany nowelą.

Ludwik Kofin.



OGNIWA W ŁAŃCUCHU KULTURY



Pismo nie jest wynalazkiem jednego człowieka — zrodziło się nie w jednym kraju, lecz w różnych częściach świata, być może nawet równocześnie.

Już pierwotny człowiek w jaskiniowych rysunkach tworzył elementy pisma obrazowego, które przeszły przez stylizację egipskich hieroglifów i zmieniły się w ciągu tysięcy lat z pisma pojęciowego (ideogramu) w pismo akrofoniczne, t. j. znaczące graficznie dźwięk danej mowy.

„Pismo słyszy się" — mówią Tybetańczycy, wypisujący od tysięcy lat na niebotycznych skałach modlitwy kapłanów, oraz Mongołowie, rozwieszający na skrawkach tkanin, podtrzymywnych bambusowymi kijami, modlitewne teksty sanskryckie: „aby wiatr niósł słowa modlitwy w wszechświat".

Najstarszym zabytkiem pisma ludów zachodu, to egipskie hieroglify. Z niemi wiążą się synajskie napisy w języku semickim, pochodzące z XVI wieku ery przedchrześcijańskiej. Pierwsze litery alfabetu zrodziły się w tych dwu pismach. Ludy fenickie, greckie, italskie wzbogacały nowemi literami alfabet.

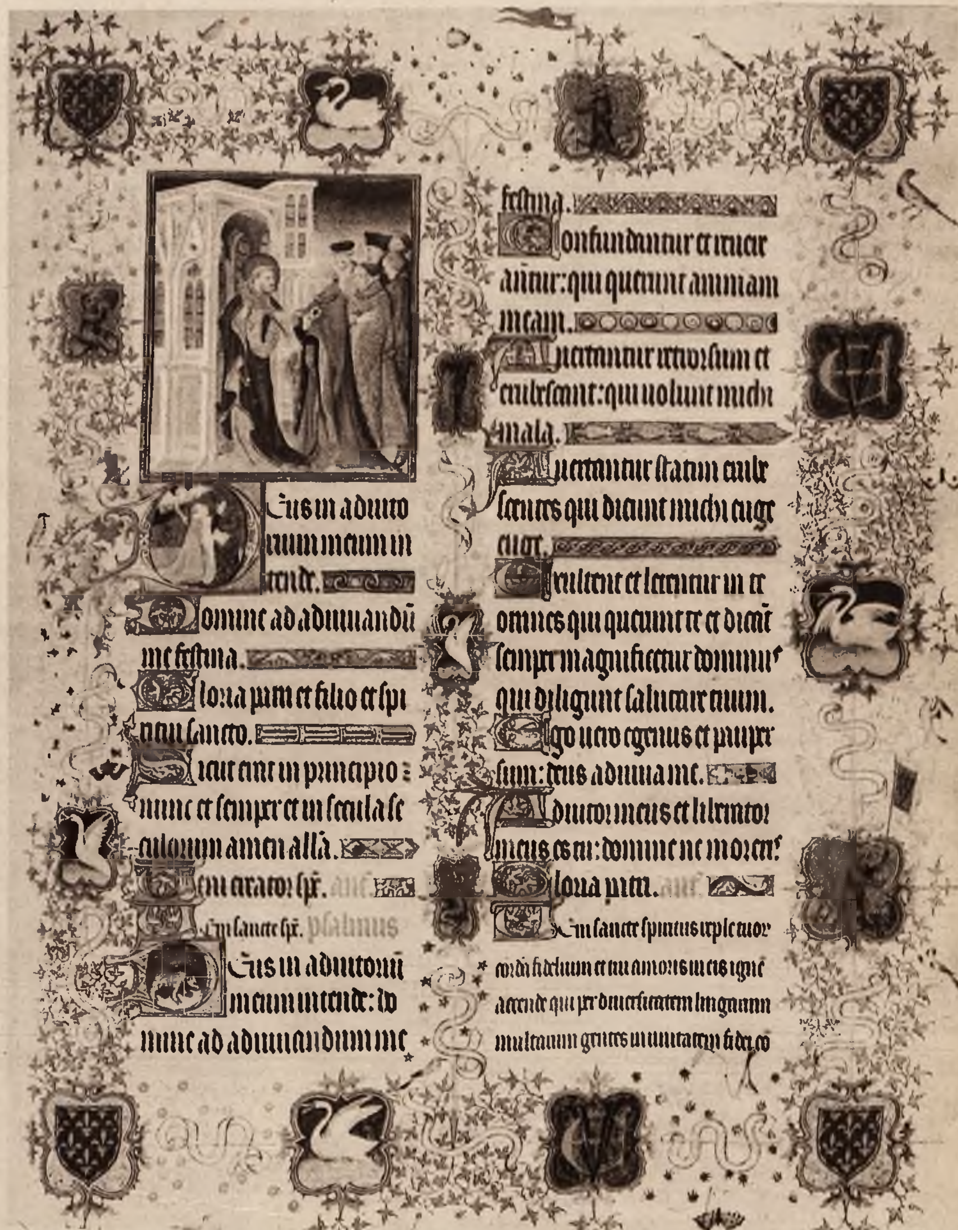
Wśród ludów śródziemnomorskich szerzyli pismo ruchliwi Fenicjanie, następnie Grecy, wypierający fenickie ludy. Koloniści greccy wprowadzili również do Italji pismo, wśród plemion Etrusków, Umbrów i Osków. Ludy te przejęły semicki sposób pisania od prawej ku lewej za pośrednictwem Greków, którzy również w swoim pierwotnym języku pisali w podobny semicki sposób, a dopiero po okresie pisma (bustrophedon), t. j. pisania jednego rzędu z prawej ku lewej, a następnego z lewej ku prawej, przeszli całkowicie do pisania z prawej ku lewej Na apenińskim półwyspie Etruskowie utrzymali tę modłę jak i Arabowie.

Najstarszy napis łaciński umieszczony na sprzączce Numaziusa biegnie od prawej ku lewej, zaś słynny napis na świętości starorzymskiej, znajdującej się na Forum Romanum, zwanej „Lapis Niger" biegnie z prawej ku lewej i z lewej ku prawej (bustrophedon).

Dopiero epoka rozwoju życia literackiego, t. j. czas Liwiusza i Andronikusa ustaliła w Rzymie porządek pisania z prawej ku lewej, w czasie gdy inne ludy italskie utrzymały semicki porządek pisma, aż do swego zniknięcia.

Od najdawniejszych czasów pismo rozwijało się w dwu kierunkach: w charakterze reprezentacyjnym, monumentalnym i dla codziennego użytku, uproszczone, pisane rylcem na wosku ,lub pędzlem na ścianie.

Materjał, na którym pisano wpłynął na tworzenie jego charakteru i stylu.



Karta z iluminowanego rękopisu ks. Jana de Berry (Grandes heures z XV wieku).

W monumentalnem liternictwie, geometryczna stylizacja wynikała z rycia w kamieniu, natomiast pismo codzienne, zwane rustiką, ryte na tabliczkach woskowych lub malowane farbą na papyrusie tworzyło się z innych już graficznych elementów. Dowodem wielkiego rozwoju handlowego i politycznego życia republiki rzymskiej, to wynalazek stenografji, przypisywany wyzwoleńcowi Marka Cicerona, Tullusowi Tiro, który na podobnych elementach, jak późniejszy Gabelsberger stworzył swą tachygrafję.

Pismo starorzymskie przechodziło rozmaite okresy i ustaliło swą doskonałą formę w I wieku po Chrystusie w piśmie t. zw. „quadrata capitalis".

Na ulicach współczesnego Rzymu oglądamy dziś napisy nazw ulic, ryte w białym marmurze, podmalowane karminową farbą o tym przepięknym, klasycznym kształcie. wywodzącym swoją harmonję z ducha greckiego piękna, które przenikało Rzym starożytny na równi z grecką filofofją i nauką.

W historji kultury przedziwnym jest fakt



Najstarszy napis na kamieniu „łapis niger" (Forum Romanum).



Przykład stenografji rzymskiej, wynalezionej przez Tulliusa Tiro.

utrzymania przez dwa tysiące lat tej pięknej formy literniczej, aczkolwiek ulegała ona ciągłym przemianom i stylizacjom epok. Pismo odbija charakter narodów tak, jak rękopis charakter jednostki.

Grafologja dowodzi, iż pismo określa osobisty charakter człowieka, a zmienia się i przekształca w życiu, stosownie do zmian jego charakteru i wieku.

Styl każdej epoki historycznej odzwierciedlał umiłowania formy w charakterze pisma.

Po upadku starożytnego Rzymu na rozwój pisma i jego styl działały wpływy wschodnie, a więc upodobania okrągłej formy (uncjał) i stylizacyjnych ozdobników. Najstarsze zabytki rękopiśmiennicze chrześcijańskie pisane są uncjałem, który później przekształcił się i podzielił literę na dwie wysokości w trzech interlinjach.

Okres wędrówki narodów przynosi nowe przemiany i nowe wzajemne przenikanie różnorodnych środowisk kultury.

W r. 350 po Chrystusie biskup Ulfilas tworzy z runicznych znaków i z greckich liter własny gotycki alfabet, oznaczający dźwięki mowy Gotów.

Z rzymskiego półuncjału powstają narodowe pisma, zachodnio-gotyckie w Hiszpanji, iryjsko-anglosaskie w Anglji, Merowingów we Francji i staroitalskie. W średniowieczu tworzą się liczne skryptorja rękopisów, w klasztorach Francji, Italji, Polski i Szwecji, będące ogniskami różnorodnej stylizacji pisma zależnie od krajów. Od VI wieku w klasztorach Benedyktynów i Cystersów powstają mszały, antyfonały i graduały, zaś w Polsce w wieku X. Na średniowiecze przypada epoka odrodzenia pisma kaligraficznego w charakterze „capitalis quadrata", „capitalis rustica", „uncialis" i „semiuncialis". W XIII wieku ruch umysłowy wzrasta i pojawiają się świeccy przepisywacze rękopisów, wytwarza się systematyczny podział na scribae, scriptores, notarii, miniatores oraz iluminatores. Powstaje wówczas księgarstwo, którem zajmować się mogą jedynie mężczyźni katolicy, stacionarii i librarii. Kobietom i żydom oraz drobnym kramarzom handel książką był wzbroniony.

W epoce iluminowanych rękopisów powstają dzieła o wysokiej wartości artystycznej, wykonane przez anonimowych mnichów. Biskupi i książęta szczycą się z posiadania przepięknych modlitewników, ozdobionych minjaturami uduchowionych artystów, którzy niejednokroć w inicjale wyżywali całą swą głęboką indywidualną twórczość, w przebogatej formie ornamentalnych kompozycyj zarówno inicjałów, jak marginesów i obrazów minjaturowych.

W Monte Cassino pod Rzymem powstaje w XV w. nowe pismo wyrosłe na elementach kursywy i fraktury, które przedostaje się na południe Italji oraz do Dalmacji.

W XIV wieku wskutek użycia taniego materjału papieru, wzmaga się i potężnieje produkcja literacka i wytwórni rekopisów. Jest to okres powstania nowych stylów pisma, więc antycznej gotyki, florenckiej bastardy i północno-włoskiej rotundy.

W Italji panowała zawsze niechęć ku gotyckiemu charakterowi pisma, a epoka renesansu wzmaga rozmiłowanie w starorzymskiej formie i ornamencie.

Gutenberg wprowadza w kroju swych czcionek najpierw czystą gotykę, później w miarę rozwoju sztuki drukarskiej inne modne formy, jak „rotunda", „gotica antiqua", „textura", „szwabacha" i „antiqua". Mnogość typów pisma zanika w XV wieku a ustala się od r. 1501 nowa kursywa, która wyszła z weneckiej tłoczni Aldusa Manuciusa, przekształcona później przez Dürera na frakturę.

Erazm z Rotterdamu wprowadza do naukowej literatury antykwę kursywę. W późniejszych epokach łaciński krój czcionek zwycięża, a nawet kraje germańskie poczynają hołdować temu typowi, używając gotyku jedynie dla druków uroczystościowych.

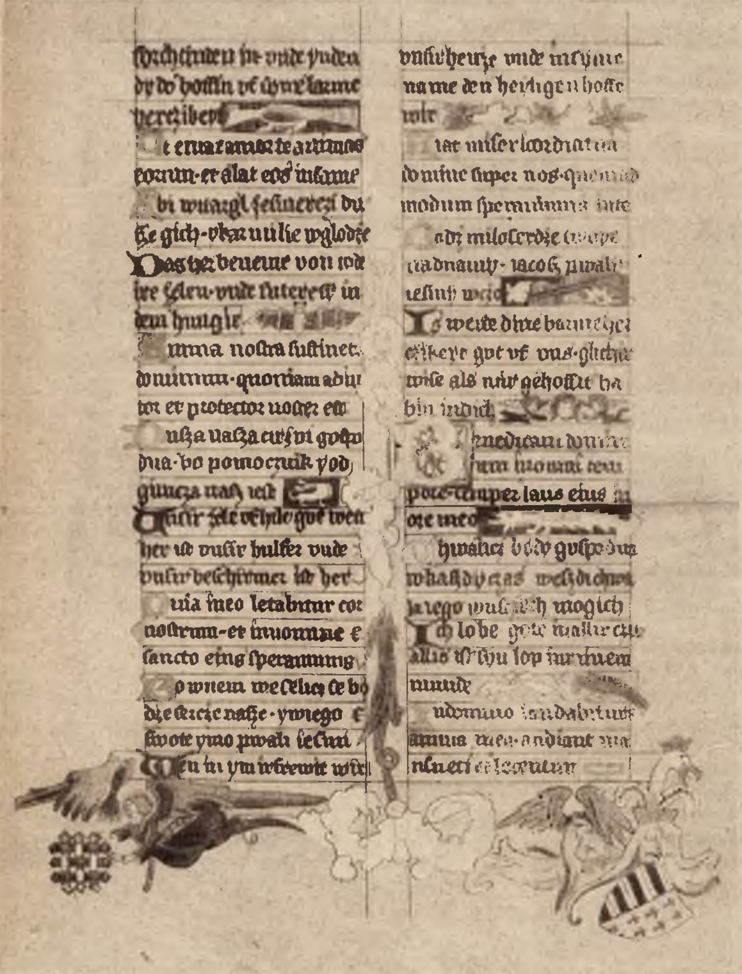
XIX-y wiek, to okres rozwoju kaligrafji, której charakter i styl zmienia się niemal w każdym dziesiątku lat XIX wieku.

Nietylko epoki historycznych stylów, ale ich podokresy tworzą swe odpowiedniki w charakterze i ornamentyce kaligrafji w eklektycznym doborze i kroju czcionek. Dopiero wynalazek maszyny do pisania wstrzymuje rozwój pisma i nowelizuje m i ę dz ynarodowy typ pisma.

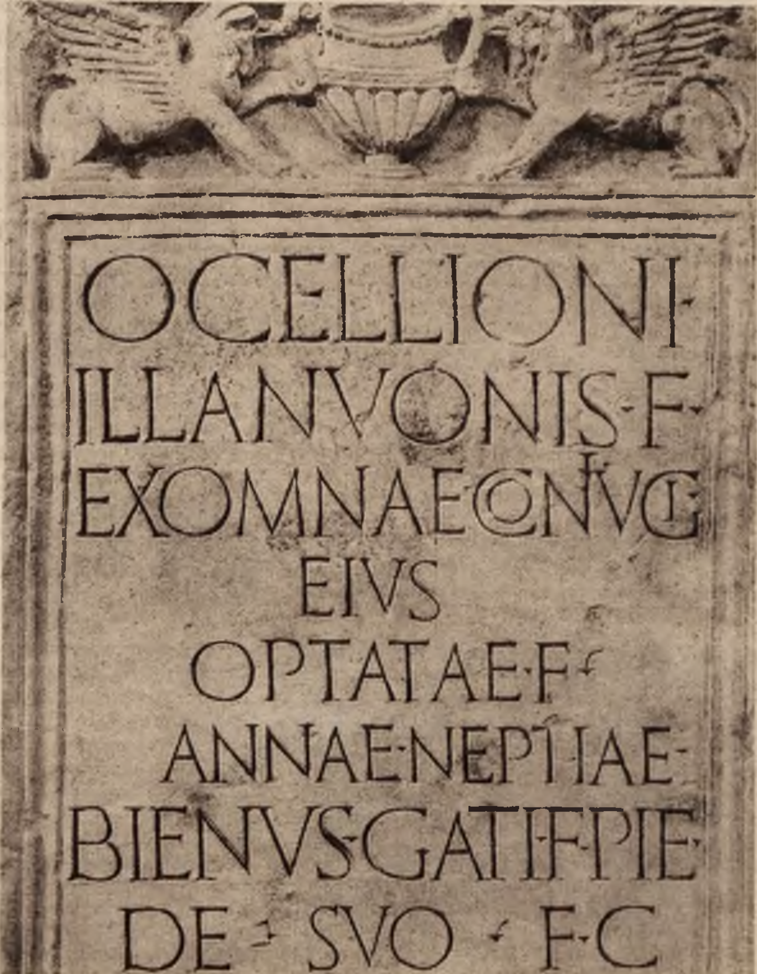


Historja pisma, to niezmiernie ciekawa historja charakteru narodów.

Marjan Dienstl Dąbrowa.



Stronica z „Psałterza florjańskiego".



Kamień nagrobkowy Ocellio z Muzeum kolońskiego.

POWIEŚĆ WIGILIJNA

MARCELI NAŁĘCZ-DOBROWOLSKI

To, co zwiemy potocznie przypadkiem, sprawiło, iż ja z drugiej półkuli prawie nagle zjawiłem się w Kanadzie, a wiedząc o miejscu pobytu mego przyjaciela Zbigniewa, postanowiłem pewnego dnia dotrzeć do niego, ażeby przyglądnąć się zbliska jak wygląda świat Jack'a Londona i Coorwood'a.

Parę tygodni pobytu mego w tych stronach minęło niewypowiedzianie szybko, natura zakryła cudną rzeczywistością wszelką literaturę. Spędzaliśmy ze Zbigniewem całe dnie wśród puszczy kanadyjskiej, wśród rozbudzonych po śnie zimowym gąszczów. — Zbigniew był znakomitym znawcą tych przepastnych, tajemniczych krain. Wieczorem nie mogliśmy się naopowiadać o wzajemnych przejściach. Muszę przyznać, że fantastycznością przeżyć Zbigniew górował nade mną. Z całego przebogatego pasma wrażeń, utkwiło mi jedno opowiadanie przyjaciela, żywo nasuwające wspomnienie stron rodzinnych i osób tak dobrze mi kiedyś znanych.

— — — — — — — — — — — —

Na lesistym Wołyniu, w sąsiedztwie rodziców moich i Zbigniewa, był majątek Deruchy. Należał do rodziny rosyjskiej. Dostał się w posiadanie generała O'Gradego po wojnie 31 roku. Od dwóch pokoleń właściciele i ich krewni żenili się z Polkami w okolicznościach niezwykle dramatycznych i byli właściwie już Polakami.

Syn ostatniego posiadacza, Aleksander, dla swej tajemniczości zwany Nurkiem — był moim rówieśnikiem i zażyłym kompanem wszystkich wypraw chłopięcych na stawy i w knieje. Dnie mijały za dniami, zaciemnione gdzieś, kiedyś, jakąś drobną chmurką przykrości dziecinnych. Myślałem, że tak będzie zawsze.

Nagły cios — niespodziewana śmierć mojej matki, zmienia wszystko. Ojciec przenosi się na Podole, — mnie umieszczono w Żytomierzu, gdzie zacząłem chodzić do gimnazjum — Nurka wysłano do liceum w Petersburgu...

Później już nie widzieliśmy się... Nie widział go również i Zbignew.

Chłopak był zawsze tajemniczy i romantyczny. Połykał opisy podróży, bohaterskie przygody i... jednego dnia zniknął... Poprostu uciekł do Hamburga. W jaki sposób tam się dostał, to inna sprawa, dosyć, że tutaj wkręca się na statek handlowy i po wielu kolejach wylądowuje w Afryce, w Marokku. Przez pewien czas służy w Legji Cudzoziemskiej, potem słuch o nim ginie, wypływa znów w angielskich kolonjach i jest w służbie jakiegoś oficera...

Nurek był bardzo zdolny... Samouk... Znał języki... Bardzo starannie wychowany... — w każdym celu „Europejczyk"... Oficer poznał się na chłopcu, ocenił zdolności... Zainteresował się pochodzeniem i losami i oddał go do jednej ze szkół angielskich. Nurek został inżynierem i stopniowo dochodził do wysokich stanowisk, nawet naczelnych w Transwalu. Widać umiał pracować... bo od czasu do czasu pisano o nim w dziennikach. Stał się znanym... bogatym... Tacy ludzie mają mało czasu dla siebie.

Nurek nie stracił widać sentymentu dla Polski... Dwie Polki w rodzinie, to — coś znaczy....

W egzotyce rzadko jest miejsce na kobietę naszego typu... Nurek tęsknił za taką... Postanowił ożenić się w kraju... a na to znów nie miał czasu. Napisał o wszystkiem do swojej ciotki, mieszkającej na wsi, żony nieżyjącego stryja. List był dziwaczny. Posłał fotografję, krótki opis czego chce... resztę pozostawił wyborowi ciotki... Nacisk kładł na wewnętrzne przymioty.

Ciotka mało nie zwarjowała... jeździła po całej rodzinie i okolicy... żadna z panien nie zdradzała zbytnich zamiarów jechać w tak oryginalnych warunkach.

Ciotka wychodziła ze siebie... Nurek postawił krótki termin. Po drugim liście przynaglającym, ciotka postanowiła użyć ogłoszeń. Z wielu ofert wybrała jedną, najbardziej dla niej sympatyczną. Ofiara przyjeżdża, „kwalifikacje" i „referencje" pierwszorzędne, jest jednak — gdzieżby nie było „ale" — ofiara była nieładną. Ciotka jednak odważa się i najbliższym statkiem wysyła z błogosławieństwem Eleonorę... Prawda — że powieściowe imię?

Na molo chodzi niespokojnie Nurek i wypatruje zwiększający się punkt na horyzoncie... Statek wchodzi do portu. Zarzucają pomost...

Z wnętrza wysypywać się zaczyna sznur podróżnych. Nurek śledzi uważnie, zagląda w twarz każdemu. Przechodzą mężczyźni... kobiety... coraz mniej... jeszcze kilka osób... pozostaje jedna z małą żółtą walizką w ręku, rozglądająca się niespokojnie wokoło. — Nurek staje, patrzy... oczy wielkie niebieskie, nieładna. Właściwie dlaczego na nią patrzy?...

Czyżby?... Interesujące... nie, zabawne byłoby... Ciotka nie mogłaby zrobić takiego wyboru. Zresztą, cóż go mogła jakaś samotna pasażerka obchodzić. Już miał zwrócić się i przejść dalej... Gdy... Wszak ucho go nie myli? Słyszy pytanie po polsku... Czy pan jest Aleksandrem O'Grady?

Nurek zbladł. Jakto, więc to rzeczywiście ona?.... ta — jego przyszła? Więc jednak?... Nie.... to niemożliwe, żeby była pomyłka. Zawirowało mu wszystko... musiał się bardzo zmieszać...

Milczenie długie, straszne... Podróżna przemówiła pierwsza, ważąc każde słowo: „Panie O-Grady, rozumiem, jestem za brzydka, nie pomyślałam o tem... a może i w tem moja wina, nie chciałam o tem myśleć... proszę mi darować. Niech pan się nie niepokoi moją osobą... tylko proszę wskazać mi pierwszy najprędzej odchodzący do Europy statek — żebym mogła wrócić zaraz do kraju.

Nurek stał się kredowo biały. — Coś dusiło go w gardle.

„Pani myli się zupełnie — rzekł — proszę ze mną, to co miałem uczynić, wykonam". Przy tych słowach podał z galanterją ramię świeżo przybyłej i prosto stamtąd on i ona udali się na probostwo, gdzie wzięli ślub.

Nurek zawiózł żonę do siebie. Ely została oszołomiona... wspaniały pałac, służba czarna i biała, jakby orszak niewolników kornie chylących się na skinienie ręki... kryształy... przepych zastawy... Jakiś sen, czy fantastyczna zjawa...

Po obiedzie Nurek odprowadził małżonkę do jej apartamentów, gdzie oczekiwała ją jej służba kobieca.... i znów same niespodzianki... najpiękniejsza bielizna... stroje... kosztowności...

Odtąd małżonkowie widywali się w ciągu całego roku dwa razy w dniu. On był grzeczny, chłodny, mówiący skąpo o rzeczach ogólnych, lub najkonieczniejszych... Ona najuprzejmiejsza, powstrzymująca każdy odruch serca, każde żywsze i bardziej szczere słowo... Czasem słabła, zamykała się... nie miała nikogo bliskiego, zresztą czy mogła z kimkolwiek dzielić się swą tajemnicą? Jedynie modlitwa i spowiednik umacniał ją w wytrwaniu. O'Grady wybudował w pobliżu kościółek dla kolonistów Polaków — gdzie ich niema?... i sprowadził dla nich polskiego księdza.

Dnie wlokły się nieskończenie długo. Zbliżały się święta Bożego Narodzenia.

W tym czasie sir O'Grady — miał już ten zaszczytny tytuł — urządzał zwykle dla śmietanki miejscowej wspaniałe, doroczne przyjęcie. Traf chciał, że główna zarządczyni zachorowała nagle i poprostu nie było komu o wielu rzeczach pomyśleć — przytem była w domu przecież urzędowa żona... reprezentacja...

Ely słyszy zbliżające się kroki. O tej porze?... Któżby mógł być? Ach, służący!...

„Pan zapytuje, czy może przyjść?". — „Wielkie Nieba... ależ oczywiście... zaraz"... Gorączkowo zapudrowuje ślady łez...

„Pani wybaczy". Byli zawsze na oficjalnym „Pan" i „Pani" — że trudzić ją muszę — mówi O'Grady, lecz niestety nie mogę sam wniknąć we wszystkie szczegóły przyjęcia, będąc bardzo zajęty poza domem, a M-me Rose zachorowała, no... i chciałbym w tym roku, ażeby przyjęcie to miało charakter... wilji polskiej... zależy mi na tem. — Czy mogę liczyć w tym względzie na pomoc... Pani?"

„Jakże mogłoby być inaczej?" — wykrzyknęła Eli, patrząc z wyrazem, który mówił o całem bezmiernem uczuciu, o wszystkiem... „Przecież jestem pańską żoną"...

Pod wpływem tego wzroku O'Grady spuścił oczy... gdy podniósł... ujął Elly za rękę i po raz pierwszy złożył na niej pocałunek ze słowami: „Dziękuję Pani bardzo".

Elly nie mogła opanować się z nadmiaru wrażeń — wśród krzyżujących się rozkazów, zarządzeń, gorączkowych przygotowań, widziała tylko jedno — oczy męża czarne — magnetyzujące blaskiem — przepastne... rosły... nikły... i znowu chłonęły całą jej istotę.

Wszystkie cierpienia, niepewności, zwątpienia znikły... Słodycz szczęścia napływała coraz więcej, coraz szybciej — ogarniała serce... tamowała chwilami oddech...

— — — — — — — — — — — —

Niebywały nastrój panował przy uczcie. Tchnienie miłości zjawiło się zupełnie, jak przy polskiej wigilji.

Elly promieniała... O-Grady wodził za nią wzrokiem.

Był i opłatek i siano...

Przy opłatku coś poruszyło się w duszy Nurka... Pochylił się do żony i ułamawszy kawałek opłatka — patrzył długo w talerz, jak gdyby namyślał się nad czemś głęboko...

Elly przerwała milczenie... Mówiła, że chciała oddawna z nim rozmówić się szczerze, że nie może dłużej znieść tego stanu, jaki zresztą dobrowolnie swoim postępkiem stworzyła, przybywając tu i przyjmując tytuł żony... będąc przekonana o swej brzydocie... że wie dobrze, iż żaden mężczyzna nie może jej dlatego pokochać... a cóż mówić o tak wielkim, tak bogatym panu, jakim jest jej... mąż ślubny.... — że wobec odbytej tylko ceremonji kościelnej, małżeństwo ich każdej chwili może być rozwiązane... niech tylko puści ją do kraju...

Grad łez potoczył się na opłatek, na biały obrus wigilijnej wieczerzy... Milczeli... Poprzez gwar biesiadny słychać było dzwony „polskiego kościoła". Milczały ich usta... w sercach rodziła się w Cudzie Pasterki czarowna pieśń kochania.

Wieczór jeszcze nie skończony... jeszcze... Jeszcze śledzą ich dziesiątki oczu... O'Grady musi pozostać nienagannym „gentlemenem", ale dla niej przestał już być sztywnym „sirem", czuje miękkie dotknięcie jego dłoni... widzi inne niż dawniej oczy... Słyszy niski głos, O'Grady mówi, że ona, Elly myli się sądząc o nim, jako o nieczułym człowieku, że ten długi rok, który dla niej był taką męką, był dla nich — dla niego — rokiem próby... że on poznał ją dokładnie... teraz wie, jaką wartość posiada... że widać przeznaczenie związało ich razem, ...że za nic jej teraz nie puści od siebie, przeciwnie prosi, aby odtąd była jego prawdziwą żoną... na zawsze...

Zatrzymał się, by złapać oddech... Głowa Elly coraz więcej nachylała się w stronę O'Gradego, już nie panowała nad sobą... zresztą cóż ją obchodził świata cały, płakała cicho ze słodkiego szczęścia.

Wieczerza miała się ku końcowi. — Gospodarz dał znak powstania.

Nieznacznie przygarnął Elly i dotknął ustami jej białego czoła.

Gwiazda szczęścia jaśniejąca nad ludzkością tej nocy, zabłysła i nad ich życiem.. O'Grady zakochał się do szaleństwa w swej żonie.

Spełnił się Cud Pasterki... Cud Wigilji.

Siedziałem cichy — wpatrzony w przestrzeń daleką. Kula słońca zapadała się w granatowy pasek lasu nad jeziorem... Wody bielały jak mleko, różowiały w zafryzowanych wstążkach fal — pełzających po przybrzeżnym piasku.

Powiał wilgotny, ciepły wiatr — poruszył drzewami... szedł ku nam tajemny jakby z za światów pomruk, westnienie tysięcy lat...

Po miesięcznym pobycie opuściłem Zbigniewa... a w grudniu wypadł mój powrót do kraju... „Pułaski" wykonywał swój „potworny rejs północy". Miałem przybyć do Gdyni wilją wilji... Drogę miałem nad wyraz burzliwą, dopiero gdy przejechaliśmy Szkocję, żywioły uspokoiły się... można było wyjść na pokład. Oparty o burtę spoglądałem na atramentową otchłań Bałtyku i roziskrzone niebo i zdawało mi się, że w ostatnich poświatach oceanicznego sztormu dźwięczy opowieść Zbigniewa o „Cudzie Pasterki".

Dokończenie ze str. 9.

nie miałby mieć jakiejś zbawczej myśli? Jest przecież prawdziwym Amerykaninem. Nagle roześmiał się i podskoczył radośnie. Wpadł bowiem na wspaniały pomysł! I zaczął chodzić do różnych dzienników i wszędzie dawał ogłoszenie, które rozpoczęło nasze opowiadanie.

Dalszy ciąg znacie. W tydzień potem został faktycznie miljonerem. Za sprzedane 2,000.000 egzemplarzy wypłacił mu wydawca 1 miljon dolarów i zamówił zaraz nowy romans, a jako zaliczkę dał mu 500.000 dolarów.

Piotr, który przez jedną noc stał się sławnym powieściopisarzem, pływał w jasnym oceanie radości. Ale...

Ogłoszenie odniosło skutek także z innej strony. Miljoner, który zapłacił za ogłoszenie swojemi ostatniemi dolarami, musiał też przeczytać wszystkie listy, nadesłane z tego powodu. Ale nie mógł tego sam uczynić. Zaangażował 100 panienek, które przez cały tydzień miały, z tem robotę i które musiały przestudjować te listy w liczbie 1,235,769.

I — proszę się nie dziwić! Tak różnorodne jest życie, tak różni są ludzie, że właściwie tylko troje dziewcząt zostało wziętych pod uwagę. Tylko trzy panienki z 1,235.769 były podobne do Eweliny z romansu.

Właściwie Piotr tem ogłoszeniem chciał sobie ułatwić sprzedanie tych 7000 egzemplarzy. Lecz na szczęście powiodło mu się, jak każdemu, któryby wezwał do pomocy ducha pomysłowości.... I rzeczywiście jednemu z tych duchów z liczby 1,235 769 nie mógł się oprzeć.

Colleen Shaford, urocza stenotypistka, która na ogłoszenie nie odpisała, ponieważ go nie czytała — była jedną z tych 100 panien, sortujących listy — przeszmuglowała w ostatniej minucie liścik i została panią Wallorthy.

Nasza historja jest skończona. Wydarzyła się w sposób prosty. Pomysłowy młody człowiek został sławnym, stał się bogatym i znalazł czarującą, młodą żonę... Nie chcielibyście i wy tego spróbować? Potrzeba na to tylko trochę pomysłowości.

Tłómaczyła z niemieckiego **A. S.**



ARCHITEKTURA

Wieża Campanilli w Wenecji.

Fot. E. Schäffer, Kraków





FANTAZJ
Z filmu Man Ray'a (Pary



PRZYRODA

Kwiaty sasank

Fot. Voigtländer



„Douglas" w locie nad portem.
Fot. E. Leitz. Wetzlar



PORTRET
Sari Maritza.
Fot. Paramount



KRAJOBRAZ
Zakopane w zimie.



ŻYWIOŁ

Na morzu północnem.

Fot. Mundi, Amsterdam

W barze Palace-Hotelu Anglik nachylił się ku mikserowi, wsunął sturranko. wy banknot pod talerzyk z palonemi migdałami i szepnął poufale:

— Czy w tym hotelu jest może jakaś światowa kobieta, samotna i mająca dużo wolnego czasu, któraby mogła dotrzymywać mi towarzystwa w czasie mojego pobytu?... Wynagrodziłbym ją sowicie.

Mikser, przyrządzając z poważną miną cocktail'e, odparł krótko i węzłowato, jak człowiek, który zna dobrze wartość słów i czasu:

— Very well, Sir... Jaki rodzaj pan lubi?

Powiedział to tak, jak pyta się smakosza, czy życzy sobie krwawy, czy wysmażony befsztyk.

— Brunetki, smukłe, uczuciowe — odrzekł Anglik.

Mikser zastanawiał się, nalał do shaker'a Brandy-flip, poczem oświadczył:

— Mogę panu służyć... Paryżanka... Przyjeżdża dziś rano...

— Z Berlina

— Nie, ręczę za autentyczność... Wytworna... zblazowana... Z domieszką życzliwej delikatności... Zapoznam pana z nią dziś o ósmej wieczór... Proszę przyjść tutaj o tym czasie... Trzeci taburet na prawo...

— Przyjdę.

Anglik pożegnał się i wyszedł się przejść po wybrzeżu.

Po chwili do baru weszła panna Monika tutaj dziś wieczór o ósmej... czwarty taburet na prawo... Ten pan będzie siedział na trzecim i przedstawię go pani. C'est ca!

— Ależ Alfredzie!

— Ach, pani nie rozumie również po francusku... Nie szkodzi!

* * *

Stosownie do przyjętych zwyczajów, znajomość została zawarta między jednym a drugim kielichem Gin-fixx'u. Anglik, sir Timothy, był wystarczająco pięknym mężczyzną, aby móc się podobać nawet najładniejszym i najbardziej zblazowanym, samotnym kobietom. W szarym swetrze i białych bucikach wyglądał jak prawdziwy Herkules. Zachowywał się niezwykle taktownie i zaprosił Monikę na kolację.

— Czy chciałby pan zjeść ze mną kolację sam na sam? — zapytała znacząco Monika.

— Nie — odparł sir Timothy. — Wolę zarezerwować dla nas stolik w dużej sali. Nie obawiam się wcale, ażeby taka urocza paryżanka, jak pani, mogła mnie skompromitować.

Monika, mile uderzona komplementem, rozmyślnie i z przyjemnością musnęła obnażonem ramieniem rękę sir Timothy'ego, który wpatrywał się z uwagą w talerz.

O dziewiątej licznie zebrani goście ujrzeli wchodzącego na salę barczystego, opalonego na brązowo Anglika z przystojną panią, w głęboko wydekoltowanej sukni, naszywanej paciorkami.

prywatnego saloniku na szklaneczkę szampana. Doznała uczucia niewysłowionego szczęścia i siedziała w saloniku cała drżąca. Ale gdy sir Timothy wypił swego „Dry" — była pierwsza w nocy — wstał i oświadczył uroczyście: „Odprowadzę panią teraz do drzwi pani pokoju, kochana przyjaciółko... Wymagają tego względy przyzwoitości".

Nie dodał nic więcej, a Monika poszła za nim z zaschniętem gardłem, zaciśniętemi pięściami i nerwami, napiętemi do niemożliwości... Zaledwie znalazła się w swym pokoju, wybuchnęła rozpaczliwem łkaniem. — Łzy spływały po jej policzkach i przemoczyły koronki jej poszewki z poduszki.

Nazajutrz napróżno szukała w hotelu sir Timothy'ego. Zaniepokojona udała się do baru do Alfreda.

— Pani pyta o tego Anglika? — zdziwił się Anfred. — Więc nie wie pani nic o tem, że wyjechał dziś rano do Londynu?..

Monika zbladła. Zmusiła się, ażeby nie okazać swego podniecenia i wyszła z baru W pobliżu kortów tenisowych zatrzymał ją w uprzejmy sposób jakiś nieznajomy pan:

— Zdaje się, że to pani jest Moniką Bourlet?...

— Tak, proszę pana.

— Pozwoli pani, że się przedstawię... Nazywam się Eryk Burnham, detektyw prywatny, zamieszkały przy ulicy Baker 666... Sir Timothy jest moim klientem...

Monika nie rozumiała nic z tego wszyst-

FAŁSZYWE ŚWIADECTWO

M. DEKOBRA ★ NOWELA

Bourlet. Miała na sobie niebieskawo-zielonkawą suknię aksamitną i biały toczek, przebity szafirową strzałą. Mikser nawiązał z zapałem rozmowę:

— Zdaje się, że podawałem łaskawej pani cocktail'e zeszłego lata w Deauville...

— Istotnie... Pan się nazywa Alfred...

— Tak, proszę pani...

— I cóż, panie Alfredzie... Zdaje się, że tu jest bardzo nudno?

— Pani jest sama, prawda?

— Tak...

A ponieważ Monika Bourlet pragnęła się przed kimś wygadać, powiedziała bez ogródek:

— To wcale nie wesołe, zwłaszcza, że powietrze morskie naprowadza mnie na najbardziej szalone myśli... Pan rozumie...

— Och!... Rozumiem...

— A mimo wszystko nie mogę się zadawać z pierwszym lepszym... Można sobie wprawdzie pozwolić na jakąś przyjemność, ale musi to przynieść przynajmniej tyle, ażeby wystarczyło na zapłacenie rachunku w hotelu.

— Zupełnie zrozumiałe. Trzeba łączyć przyjemne z pożytecznem. Zaraz, zaraz... mam dla pani takiego „rara avis"...

— Dziękuję. Wolę cocktail Martini.

— Ach, pani nie rozumie po łacinie.. Mówię o rzadkim ptaszku... o mężczyźnie, jakiego pani poszukuje... Jest to bogaty Anglik, który także się nudzi. Proszę przyjść

Kolacja odbyła się w niezwykle wesołym nastroju. Monika była poprostu zachwycona pięknym, angielskim baronetem. Od dwóch lat nikt jej się tak nie podobał i nie wzbudzał w niej takich rozkosznych pragnień. Kazali sobie podać kawę na taras. Księżyc roztaczał srebrny blask nad Adrjatykiem. Patrząc na morze, Monika szepnęła:

— Co za romantyczna noc... Możebyśmy się wybrali na laguny i uniezależnili się między ciemnemi kanałami od gondoljerów...

— Dobrze — odrzekł z poważną miną sir Timothy. I natychmiast dodał: „Zdaje się, że frank dziś rano znowu poszedł w górę na giełdzie..."

Jechali powoli po czarnym kanale gondolą w kształcie łabędzia, a potem wstąpili na Lido. Było wpół do szóstej nad ranem, gdy sir Timothy z kurtuazją ucałował rękę Moniki i pożegnał się. Rozczarowana Monika mówiła sobie w duszy:

— Co za głupiec!... Ale wytworny mężczyzna o nienagannem zachowaniu...

Jadali jeszcze wspólnie jedenaście razy. Gniew Moniki czynił istne spustoszenia w głębi jej podświadomości. Co wieczór musiała przypominać sobie względy przyzwoitości, ażeby nie wciągnąć gwałtem sir Timothy'ego do swego pokoju. I co wieczór Anglik całował ją z poważną miną w rękę, poczem znikał w swych apartamentach.

Dwunastego wieczora serce Moniki zabiło żywiej: sir Timothy zaprosił ją do swego

kiego. Detektyw nie zwlekał długo z wyjaśnieniem:

— Polecono mi wręczyć pani w imieniu sir Timothy'ego ten oto czek... Jest on wystawiony na sumę stu funtów szterlingów i może być podjęty w National City Bank. Pieniądze te są przeznaczone na pokrycie kosztów tutejszego pani pobytu i ma to być poniekąd podziękowanie za umilenie sir Timothy'emu jego dwunastodniowego pobytu w tym hotelu pani towarzystwem...

— Ależ, proszę pana...

— Zaraz to łaskawej pani wytłumaczę... Państwo Timothy pragną się rozwieźć za obopólną zgodą. Celem uzasadnienia konieczności tego rozwodu, niezbędne są dowody lekkomyślności małżonka. Pan Timothy skompromitował się tutaj dzięki pani; to wystarcza. Sir Timothy uprasza łaskawą panią tylko jeszcze o jedno, a mianowicie, ażeby pani zechciała w razie potrzeby poświadczyć przed angielskim sądem, że sir Timothy istotnie zdradził swą żonę z panią w hotelu na Lido.

Monika przypatrywała się przez chwilę detektywowi. Jej oczy błyszczały gniewnie, a kąciki jej pięknych ust drżały. Po chwili namysłu oświadczyła kategorycznie:

— Proszę oznajmić sir Timothy'emu, że o ile chce mieć moje świadectwo, to nie może ograniczyć się do pozorów.... Zrozumiano?...

Z francuskiego przełożyła H. Hellerówna.

CO MYŚLĄ o gwiazdach—ich dyrektorzy?



Dyrektor Opery warszawskiej, Jerzy Mazaraki *Fot. St. Brzozowski — Warszawa*

Tradycyjnie, w numerach gwiazdkowych naszego Magazynu poświęcaliśmy kilka kolumn naszym gwiazdkom i gwiazdom scenicznym. Boże Narodzenie, i symbol tych świąt — gwiazda, mimowoli nasuwa na myśl wszystkie te pojęcia, które od gwiazd przyjmują ich nazwy i blask.

Tego roku uczyniliśmy wyjątek od owej zasady. Postanowiliśmy oddać głos nie samym gwiazdom, lecz... ich dyrektorom. — Jeśli w stałej rubryce naszego Magazynu „Artyści na cenzurowanem", gwiazdy i gwiazdorów cenzurowali nasi Czytelnicy, niechże raz jeden ocenzurują je — ich bezpośredni przełożeni, ich „odkrywcy" i przewodnicy.

1. Jerzy Mazaraki, dyrektor Teatru Wielkiego — Opery.

— Istnieje duża różnica pomiędzy gwiazdą opery a gwiazdą dramatu. Talent aktora dramatycznego w każdym jego wieku jest aktualny. Może on być najpierw amantem, potem grać role charakterystyczne, wreszcie ojców i dziadków. Natomiast karjera artysty operowego często zabłyśnie tylko na krótki okres czasu — potem z konieczności gaśnie. Z chwilą, kiedy śpiewak zaczyna tracić głos, musi ustąpić z pola walki. Jeśli jest arty tą w każdym calu, ustąpi sam, z honorem, jeśli nie, pokona go życie. Artysta operowy musi zatem więcej niż ktorykolwiek inny myśleć o zabezpieczeniu swej przyszłości.

W Polsce istnieją tylko dwie opery stałe i dwie „dorywcze". Na 34-ro miljonowy naród jest to cyfra nadzwyczaj znikoma w porównaniu n. p. z Niemcami, które na 80 miljonów mieszkańców mają 69 oper stałych państwowych wzgl. miejskich, lub w porównaniu z... Łotwą, która na nie ałe półtora miljona mieszkańców, a więc tyle, ile liczy Warszawa, posiada 2 opery. To też u nas młodzi śpiewacy niezbyt chętnie garną się do karjery śpiewaczej; rozumują trzeźwo i widzą, że mimo wszystko trzeba żyć, nie mając pola do pracy. W zrozumieniu tego jednak, że mimo wszystko trzeba stwarzać nowe gwiazdy, a więc poszukiwać nowe talenty i głosy, utworzyłem w tym roku przy operze Studjo Operowe, gdzie w tej chwili kształci się 54 młodych talentów. Są tam śpiewacy, którzy rokują dużą przyszłość. Już w bieżącym sezonie Studjo wystawi własnemi siłami „Cyganerję" i „Fra Diavolo". Studjo — możnaby zatem nazwać kuźnią nowych gwiazd.

Gdy mowa o młodych siłach opery, pragnąłbym wymienić Barbarę Kostrzewską i Edmunda Zayendę, którzy śpiewali już w „Słońcu Meksyku", a teraz przygotowują swe pierwsze partje operowe: Kostrzewska „Cyganerję", Zayenda „Toskę". I w tych młodych siłach pokładam wielkie nadzieje.

2. Stefan Jaracz, dyrektor Teatru Ateneum.

— Nie widzę analogji między gwiazdą na niebie, a tym, którego nazywa się w życiu gwiazdą teatralną. „Gwiazdorstwo" zjawiło się dopiero wraz z drugorzędnem widowiskiem — kinem, i trzeciorzędnem widowiskiem — kabaretem, które „gwiazdą" nazywają każdego, kto raz dobrze zaśpiewa piosenkę. Winno się raczej używać porównań z meteorem, z meteorytem, które świecą krótko, może bardzo efektownie, lecz nie są jeszcze źródłem światła. W dziejach teatru na palcach policzyć można prawdziwe „gwiazdy". Do tego trzeba wielu lat, wielu przeżyć; jest to bardzo poważne, trudne zdobywanie techniki.

Powstanie gwiazdy w kinie zależne jest od reżysera, techniki, pieniędzy. Dlatego w kinie może być gwiazdą dziecko, jakaś rzecz, lub nawet pies. Naprzykład Rin-Tin-Tin. W teatrze tego niema!

Ja w swoim teatrze usuwam nazwę „gwiazdy". Wolę elektrotechnika, który dobrze robi swoją powinność, niż chwilowy „wyprysk" gwiazdy w jednej roli. U mnie są tylko pracownicy, mniej lub więcej uzdolnieni. — Gdy aktor nawet w małej roli wykaże swą świadomość artystyczną — będzie też „gwiazdą" w swoim zakresie.

Uchodząc na rynku za „gwiazdę", walczę z publicznością, by mnie tak nie nazywała. Zdaję sobie doskonale sprawę z tego, że nie jestem skończony. Jestem tylko członkiem zespołu mego teatru, który jedynie bierze na siebie większą odpowiedzialność, z racji doświadczenia wielu lat pracy"...



Wielki artysta Stefan Jaracz, dyrektor teatru „Ateneum". *Fot. St. Brzozowski — Warszawa*



Wybitny artysta sceniczny Karol Adwentowicz kieruje „Teatrem Kameralnym". *Fot. Forbert — Warszawa.*

3. Karol Adwentowicz, dyrektor Teatru Kameralnego.

— Moja odpowiedź na pytanie ankiety jest specjalnie utrudnioną, ze względu na sytuację planetarną Teatru Kameralnego. Nie świecą nad nim słońce i gwiazdy — Teatr nasz ukrył się w g ębi ziemi — Hades jego państwem, o sklepieniu żelazo-betonowem. (Jak wiadomo, Teatr Kameralny znajduje się w podziemiach. Przyp. red.). Na firmamencie naszym nie świecą gwiazdy ustalonej i uznanej wielkości — wszystko u nas płonie — nasze gwiazdki mają w sobie blask i żar mgławic; w ciągłym pędzie ku twórczemu wypowiedzeniu się są wiecznie zmienne, trudne do uchwycenia i zbadania szkiełkiem i okiem. Pracują radośnie, kochają sztukę całem sercem i tylko serce można je zbadać i ocenić...

4. Witold Zdzitowiecki, dyrektor Teatru „8.15".

— Co myślę o gwiazdach?

— Hm... Od wielu lat, jako reżyser operetkowy obracam się w środowiskach tych właśnie „gwiazd". Jestem zatem trochę znieczulony na promieniowanie fluidów sławy i wielkości, płomień, który tyle razy sam rozdmuchiwałem. W dziedzinie operetki jest u nas — mówmy szczerze — posucha na te „gwiazdy". Idźmy dalej: niema gwiazd. To też operetka szuka atrakcyj wśród primadonn operowych (Szczepańska, Wermińska),



Fryderyk Járossy, dyrektor „Cyrulika Warszawskiego".



Witold Zdzitowiecki, dyrektor teatru „8·15".
Fot. Forbert — Warszawa.



Zbyszko Sawan, dyrektor Teatru Malickiej.
Fot. Dorys — Warszawa.

W. Zdzitowiecki. Zbyszko Sawan

tancerek (Loda Halama) artystek dramatycznych (Modzelewska, Romanówna), „stars" filmowych (Makowska), albo rewjowych. Rasowych, pełnowartościowych diw operetkowych nie mamy. Epoka śp. Kaweckiej, Niewiarowskiej i powracającej dziś na łono teatru marnotrawnej ,córy, Lucyny Messal, należy do przeszłości. Wyrabia się szereg obiecujących sił, ale aktualnej primadonny w wielkim stylu operetka nasza właściwie nie posiada. To też nie na gwiazdach, ale na sharmonizowanej rzetelnie całości opierać dziś trzeba powodzenie imprez operetkowych. Trzeba, bo... trudno inaczej. A tymczasem film — zwłaszcza amerykański — prowadzi politykę gwiazd, opierając swą świetność na Gretach, Marlenach. Atmosfera taka sprzyja „połowowi gwiazd", które się potem „lansuje" — to znaczy wmawia w tłum, że ta czy inna aktorka jest „gwiazdą". W naszych warunkach podobny system częstokroć doprowadza do wypaczenia pojęcia „gwiazdy". Jakiś przypadkowy sukces, parę fotosów w pismach, kilka pochlebnych recenzyj stwarza nieraz złudzenie, iż powstała nowa gwiazda. Niestety „gwiazdowanie" kończy się jednej roli.

Dlatego więcej niż „gwiazdy" — cenię rzetelnie pracujące aktorki...

5. Zbyszko Sawan, dyrektor Teatru Malickiej.

System „gwiazd" pozostawmy filmowi i tym krajom, które mogą sobie pozwolić na to, by stworzyć potężny przemysł kinematograficzny.

Teatr dramatyczny zwłaszcza jest instytucją za skromną, by uprawiać politykę gwiazd. Często publiczność sama decyduje, że ta lub inna aktorka ma więcej od innych kredytu i popularności. Bezwzględnie i Teatr Malickiej i Teatr Ateneum w oczach szerokiej publiczności są terenem popisu Malickiej i Jaracza. Napewno jednak nie jest to celem ani Malickiej ani Jaracza. Teraz naprzykład w Ateneum idzie „Panna Maliczewska" bez Jaracza, u nas zaś szedł „Zamieszaj" bez Malickiej. Nasz teatr jest w specjalnie trudnej sytuacji gdyż w grę wchodzi tu jednak problem gwiazdy. Ale ideologja nasza niema nic wspólnego z „gwiazdorstwem". Jestem zwolennikiem pracy zespołowej i aktorzy interesują mnie jako poszczególne elementy całości. Nic więcej...

6. Fryderyk Járossy, dyrektor Teatru Cyrulik Warszawski.

— Powiedział Imanuel Kant (filozof): Gwiaździste niebo nademną i imperatyw kategoryczny we mnie!

Fryderyk Jarossy (dyrektor Teatru) może odpowiedzieć: Żadnej ciemnej gwiazdy nademną i dobry gwiazdozbiór podemną!...

Ankietę przeprowadził:
Romit.

ŻYCIE ARTYSTYCZNE

„NIESPODZIANKA" NA SCENIE ŁÓDZKIEJ



Zrzeszone teatry łódzkie grają obecnie na jednej z scen znakomity dramat Karola Huberta Rostworowskiego „Niespodzianka", przygotowany świetnie reżysersko przez Bronisława Dąbrowskiego, który już uprzednio za inscenizację „Nocy listopadowej" Wyspiańskiego zdobył sobie powszechne uznanie krytyki i publiczności łódzkiej. Dużej miary kreację aktorską dała w „Niespodziance" Julja Kossowska, grająca rolę matki, którą na naszej ilustracji widzimy wraz z W. Skwarską (Zosią).
Fot. Br. Dąbrowski.

DWA JUBILEUSZE

Karol Urbanowicz, pierwszy reżyser i bas Opery poznańskiej święci obecnie 25-lecie swej pracy artystycznej. Po studjach w Krakowie pracował w Operze lwowskiej, a od chwili powstania państwa polskiego bez przerwy w teatrze poznańskim. Z okazji jubileuszu artysta wystąpił w swej popisowej roli Don Basilia w „Cyruliku Sewilskim" Rossiniego.
Fot Ryś — Poznań.



Ku uczczeniu 60-tej rocznicy urodzin znakomitego kompozytora Feliksa Nowowiejskiego, który swą twórczość głównie poświęcił Wielkopolsce i Pomorzu odbył się w Toruniu w teatrze Ziemi Pomorskiej koncert kompozytorski, w którym wzięły udział chóry toruńskie, orkiestra symfoniczna i Tow. Śpiew. „Lutnia", które było inicjatorem uroczystości.
Foto „Rubens" — Toruń.



„KRÓLOWA PRZEDMIEŚCIA" SFILMOWANA



Najpopularniejszy wodewil polski „Królowa przedmieścia" Konstantego Krumłowskiego, który obiegł niemal całą kulę ziemską, został obecnie sfilmowany pod kierunkiem reżyserskim E. Bodo. Rolę tytułową odtwarza w tym filmie Helena Grossówna, artystka niezwykle i wszechstronnie utalentowana, znana dobrze z estrad scen rewjowo-operetkowych i dramatycznych. Na naszej ilustracji H. Grossówna jako Mania — Królowa przedmieścia.

Postój w Warszawie

Ilustr. M. Żmuda

SZKIC — JERZY KORYZMA

Kawaler Giacomo Casanowa de Seingalt zjechał do Warszawy po dłuższym pobycie w Petersburgu, gdzie cieszył się nadzwyczajnemi łaskami carowej Katarzyny, zwanej przez panegirystów Semiramidą Północy oraz jej nadobnych frejlin. Hucznie i beztrosko płynęło kawalerowi de Seingalt życie w kamiennym grodzie Piotrowym, mimo to jednak zbrzydły mu koniec końców mrozy rosyjskie i mgły, wzbierające nad Newą, a nadewszystko zbrzydły mu noce bezmroczne i białe, których dokuczliwej jasności nie koiły nawet słodkie om dlenia w ramionach licznych kochanek. — Pokłonił się tedy niestrudzony poszukiwacz przygód swej możnej protektorce i ruszył z powrotem ku Zachodowi, stęskniony za subtelną kulturą łacińską, która pozornie tylko zadomowiła się w pałacu Katarzyny, kryjąc pod srebrem peruk i lśniących szychem paryskich żakiecików, obcą mu i nieprzyjazną duszę Wschodu.

Z Petersburga do Warszawy wiodła droga przez senną i beznadziejnie spokojną Rygę, a potem przez czysty, w kwiatach tonący, ale małomiasteczkowy Królewiec Po nudach podróży stolica polska była dla kawalera de Seingalt oazą gallickości i tego świata, za którym tęsknił. Zakrzątnął się tedy Casanowa wokół swych spraw i już następnego dnia po przybyciu złożył wizytę księciu Adamowi Czartoryskiemu, generałowi ziem podolskich, którego jeszcze w Petersburgu wskazano mu, jako najmożniejszego człowieka w Warszawie. Pisma polecające posła angielskiego, w jakie się kawaler de Seingalt przezornie zaopatrzył, otwarły przed przybyszem podwoje najwykwintniejszych pałaców warszawskich. — Książe Czartoryski, o którym dworscy poeci pisali, że jest „najwykwintniejszym grandseigneurem czterech części świata", zaprosił go na kolację, mającą zgromadzić elitę towarzyską stolicy, a książę Sułkowski niemniej gościnnie zapewnił sobie udział kawalera w najbliższym obiedzie towarzyskim. Przygotowawszy sobie w ten sposób okazały start towarzyski, wybrał się Casanova, bohater tysiąca przygód miłosnych i łowca uśmiechów życia do przybytku, który był dlań portem, gdziekolwiek się zatrzymał w swej barwnej, pełnej niespodzianek wędrówce po świecie. Tym przybytkiem była opera.

Opera mieściła się podówczas w parku pałacu Saskiego i gościła właśnie trupę, złożoną z rodaków kawalera de Seingalt. Casanova bez trudu dostał się na próbę i siedząc w mrocznej loży, podziwiał ewolucje włoskich baletnic. Nozdrza grały mu lekko, chłonąc ów specyficzny, podniecający go zawsze zapach pudru, ciał kobiecych i przenikliwych pachnideł. Po próbie wkradł się za jednym zamachem w łaski całego zespołu. Niedarmo był przecież znany, jako najbardziej czarujący causeuz dworów królewskich! A prócz tego odznaczał się niezwykłą szczodrobliwością i jakkolwiek pod względem finansowym nie był zbyt mocny, nie pożałował jednak pieniędzy na poczęstunek dla rodaków. Naznoszono tedy wina i egzotycznych owoców, rozpoczęły się śpiewy, tańce i toasty. Casanova nie tracił czasu, uwodząc śniadą primabalerinę, piękną i smukłą Włoszkę — Catani.

Wreszcie jednak przypomniał sobie nasz bohater, że czeka go tego wieczora pierwszy występ warszawski — kolacja u księcia Adama. Pożegnał się więc czemprędzej i wrócił do swej kwatery, ustalając przedtem poufnie termin i miejsce spotkania z piękną primabaleriną, która była oficjalną przyjaciółką dyrektora opery, hrabiego Tomatisa. Pamiętając o tem, że od dzisiejszego wieczora zależą dalsze losy jego postoju w Warszawie, stroił się kawaler de Seingalt długo i starannie. Jeśli zdoła się zaprezentować okazale i frapująco, jeśli zdoła na siebie zwrócić uwagę pięknych pań z warszawskiego towarzystwa i możnych panów, którzy hojnie szafują złotem, w takim razie postój w Warszawie może wypaść bardzo ciekawie. Jeśli zaś nie, jeśli tym razem zawiodą twe liczne talenty, wówczas — żegnaj ptaku wędrowny! Rozpostrzyj skrzydła do lotu i ruszaj czemprędzej w drogę, na spotkanie nowych przygód i nowych ludzi!

* * *

Na pokojach księcia Adama gwarno było i rojno. Orle spojrzenia kawalera de Seingalt błądziły wśród nieznanych twarzy, starając się je przeniknąć i odcyfrować. Bo Casanova był nietylko uwodzicielem, ale przedewszystkiem psychologiem. Powodzenie swe zawdzięczał w równej mierze wspaniałej, południowej urodzie, jak i wielkiej wiedzy, niezbyt może głębokiej, ale błyskotliwej i encyklopedycznie różnostronnej oraz gruntownej znajomości ludzi. Jego gesty i słowa, wymowa wzroku i ruchy — wszystko to nastawione było na efekt. Ktowie: gdyby kawalerowi de Seingalt nie udało się dostać między wysokourodzone sfery, może wówczas przeszedłby do nieśmiertelności, jako genjusz aktorski, nie mniejszy niż Kean lub Talma!

Towarzystwo, zgromadzone na kolacji u generała ziem podolskich, potwierdzało — zewnętrznie przynajmniej — opinję o Warszawie, jako Paryżu Północy. Wszyscy znali Paryż z wielokrotnych podróży, wszyscy władali wspaniałą francuszczyzną i olśniewali strojami o szyku prawdziwie paryskim. Nic dziwnego, że w takim gronie Casanowa odrazu zwrócił na siebie uwagę. Z miejsca potoczyła się rozmowa, pełna wdzięku, błyskotliwości i dyskretnego humoru. Niewiele upłynęło chwil, a na wąskich wargach cudzoziemieskiego przybysza, który nawet w tem wytwornem gronie wyróżniał się urodą i elegancją, zawisły spojrzenia wszystkich niemal kobiet. Kawaler de Seingalt błyskiem ciemnych oczu pokwitował pełne ciekawości spojrzenia księżnej miecznikowej litewskiej, Radziwiłłowej, uśmiechnął się nieznacznie do wiotkiej i minjaturowej Izabelli Czartoryskiej, ale serce zabiło mu żywiej dopiero na widok księżnej Lubomirskiej. Ta jednak najmniej właśnie zwracała na gładkiego cudzoziemca uwagi, darząc najwidoczniej względami swego towarzysza, którym był wysoki, bardzo urodziwy jegomość o męskiej twarzy i niepohamowanych ruchach.

— To pan Ksawery Branicki, cześnik koronny i przyjaciel króla — wyjaśnił kawalerowi ksiądz biskup Krasicki, uśmiechając się dyskretnie. — Źle jest mieć w nim nieprzyjaciela, bo jest w gniewie niepohamowany i nie cofa się przed niczem.

Casanova zrozumiał dyskretne ostrzeżenie spostrzegawczego biskupa i przestał gonić wzrokiem za panią Lubomirską. Ale mąciło mu w głowie wspomnienie jej ust, przepysznie skrojonych, cienkiego nosa o nozdrzach nieco rozdętych i ruchach, pełnych harmonji i gracji. Nikt jednakże z obecnych nie mógłby rozeznać, co się dzieje w duszy wielkiego uwodziciela. Z zainteresowaniem słuchano jego opowiadań o Paryżu i Petersburgu, o zabawach dworskich i ekstrawagancjach arystokracji rosyjskiej. W czasie rozmowy ukazał się na progu nowy gość, którego lokaj zaanonsował po polsku, a więc w języku dla Casanovy niezrozumiałym. Był to mężczyzna nieco już ociężały, ale wyjątkowo szlachetnej urody. Zebrani pozdrowili go ukłonem, a on odpowiedział im pełnem dystynkcji skinieniem głowy. Kawaler de Seingalt nachylił się do biskupa Krasickiego, zamierzając go zapytać o nazwisko nowoprzybyłego, ale w tej chwili książę Czartoryski zwrócił się do Casanowy i głosem niedbałym powiedział:

— Oto jest król.

Kawaler był nieco zdziwiony dość niedbałem przywitaniem, jakie zgotowano królowi. Nie orjentował się jeszcze wówczas w specyficznym charakterze Rzeczypospolitej szlacheckiej. Niemniej, natychmiast po tych słowach Czartoryskiego zgiął się w czołobitnym, dworskim ukłonie i wręczył królowi odręczne pismo polecające tegoż posła angielskiego, który mu utorował drogę do pałacu księcia-generała. Król Staś odrazu wdał się z Casanovą w ożywioną rozmowę, każąc sobie opowiadać o wszystkiem, co miało związek z Katarzyną. Wypytywał nawet o nazwiska jej aktualnych faworytów; interesowały go wszystkie dworskie ploteczki i pikantne skandale, jakich nie brak było w romantycznem życiu imperatorowej. A kiedy przyjęcie się skończyło, kawaler de Seingalt zdawał już sobie sprawę, że osiągnął sukces niebywały, zwracając na siebie uwagę monarchy i „wyższych dziesięciu tysięcy" dworskiej socjety. I gdyby nie chłodna rezerwa księżnej Lubomirskiej, powodzenie jego byłoby zupełne...

Ale król kobiet nie należał do ludzi, którzy łatwo rezygnują z upatrzonej zdobyczy.

To też, kiedy tejże nocy zamknął w swych ramionach smukłe ciało tancerki Catani, myśli jego ulecjały ku tej, która zdołała podbić jego serce. I poznając na nowo stare, a przecież wciąż świeże arkana sztuki miłosnej, marzył w duchu o chwili, kiedy zdobędzie tamtą kobietę, która dziś nie

raczyła nań zwrócić uwagi. Kipiała w nim ambicja i zadraźnion miłość własna. Cóż z tego, że księżna Lubomirska jest wielką panią? Cóż z tego, że twoje — kawalerze — szlachectwo jest bardzo wątpliwej jakości, a dumne „de", którem raczyłeś je ozdobić, nie figuruje w heraldycznych archiwach? Cóż z tego, że jesteś cudzoziemcem, jakich pełno kręci się po wszystkich dworach Europy? Masz oczy lśniące i pełne drapieżnego wyrazu, twój uśmiech zniewala zdobywczą mocą, a ruchy harmonją i elegancją. Więc choć jesteś cudzoziemskim przybłędą, który przywędrował do Warszawy w poszukiwaniu przygód, uciech i złota nie trać mimo wszystko nadziei...

* * *

Nadciągnęła zima i rozpoczął się sezon nieustannych balów. Zewsząd płynęły zaproszenia pod adresem cudzoziemskiego obieżyświata, który zdołał podbić serca płci pięknej, był niezrównanym tancerzem, świetnie prowadził dyskurs, grał wyśmienicie w tryszaka i cieszył się szczerą sympatją króla. Już i księżna Lubomirska zrezygnowała z chłodnej rezerwy, chętnem uchem słuchając dwornych komplementów kawalera. Pilnie jednak czuwała nad tem, by nie przekroczyć zakreślonej przez konwenanse granicy i choć Casanova najprzebieglej zastawiał na nią sidła, umykała mu zawsze w porę, uprzejma, a mimo to dumna i zagadkowa. Koniec końców, kawaler de Seingalt zwątpił o swym sukcesie. Księżna była nieugięta, a przyczyną tego nie mógł być jej małżonek, strażnik koronny, Stanisław Lubomirski, człek schorowany i stroniący od uciech tego świata. Nie mogła nią być również zbyt skrupulatna moralność księżnej, bo wiadomo było, że przez czas długi zażywała szczególnych łask samego monarchy. Więc chyba Ksawery Branicki... Ha, przed takim przeciwnikiem nie wstyd kapitulować!

Pewnego razu wybrał się Casanova na publiczną redutę. Z osłoniętą twarzą, w ciemnem dominie, przepychał się właśnie przez rozbawioną ciżbę, kiedy nagle dotknęła jego ramienia jakaś wdzięczna maseczka. Rzucił okiem na postać wiotką, jak trzcina, na twarzyczkę, której owal rysował się za zasłoną i — zadrżał. Znał te włosy puszyste i lśniące, te dłonie o wysmukłych palcach i oczy, czające się ciekawością i wyzwaniem.

— Monsieur...

— Pani...

Rozperliła się rozmowa, pełna urzekających aluzyj i napomknień. W chaosie rozmów dwa ich głosy zlały się w pieśń namiętności i upojenia. Wymknęli się wreszcie z gwarnej sali, a miękko wysłana kareta uniosła ich w noc uniesień i szału.

* * *

Zbliżenie, jakie nastąpiło między księżną Lubomirską a kawalerem de Seingalt, nie mogło ujść uwadze obserwatora tak bacznego, jak cześnik Branicki. Był to panek zadzierżysty i pełen wigoru, faworyt królewski i człowiek, o którym mówiono, że ma wprawdzie mniej w Polsce do powiedzenia niż ambasador imperatorowej, Repnin, ale więcej, niż król Stanisław August.

Tak więc Branicki zaczął najwyraźniej szukać zwady z Casanową i ten rychło zrozumiał że oto zbliża się chwila, kiedy trzeba będzie opuścić gościnne progi polskiej stolicy. Nie był wprawdzie Casanova tchórzem i w razie potrzeby umiał nakazać szacunek dla swej szpady, ale kolizja z Branickim oznaczała coś więcej, niż zwykłe nieporozumienie. Cudzoziemiec, który naraził się królewskiemu faworytowi, tracił w Polsce grunt pod nogami i mógł opatrzności dziękować, skoro bez szwanku wydostał się za granicę. Mimo to kawaler de Seingalt postanowił nie ustępować bez walki.

Jakoż rychło przyszło do otwartej awantury. Powód był błahy i wszystko wskazywało na to, że imć cześnik zagiął sobie parol na kawalera de Seingalt, rycerza papieskiego orderu Złotej Ostrogi i sławnego zdobywcy serc niewieścich. Zajście nastąpiło za kulisami tejże opery, gdzie Casanova tak hucznie oblewał swój przyjazd do Warszawy. Branicki i kawaler de Seingalt byli tam częstymi gośćmi. Pewnego dnia podszedł cześnik do Casanovy w chwili, gdy ten zaabsorbowany był intymną rozmową z jedną z młodziutkich tancerek, odznaczającą się wyjątkową urodą.

— Zakazuję ci, kawalerze rozmów z tą oto damą, której sam chcę złożyć serce w ofierze — powiedział w tonie jaskrawie prowokującym.

Kawaler odparł uprzejmie, że decyzje w sprawach sercowych zwykł pozostawiać kobietom; ponieważ jednak nie chce narażać Bogu ducha winnej tancerki na niechęć tak możnego pana, jak imć Branicki, gotów jest więc wycofać się z konkurencji.

Ale cześnikowi nie na rękę była taka ustępliwość.

— Jak widzę, porzuca waść plac boju bez jednego wystrzału — powiedział, wybuchając śmiechem. — Tak też i przypuszczałem! Weneccy tchórze nie przywykli stawiać przeciwnikowi czoła!

Tego było kawalerowi za wiele. O dyplomatycznym załatwieniu konfliktu nie mogło być mowy, bo świadkami obelgi byli liczni oficerowie. Trzeba było reagować natychmiast i to — w sposób jaknajostrzejszy!

Blady z oburzenia rzucił więc Casanova pod adresem Branickiego:

— To się jszcze, mości hrabio, okaże, kto z nas dwóch więcej posiada odwagi. Pan, co zapominając o obowiązkach gospodarza, miota obelgi pod adresem cudzoziemskiego szlachcica, czy tchórz wenecki, co gotów jest stawiać tym obelgom czoło. Rozstrzygniemy ten dylemat w polu, mości hrabio, na placu!

Dalsze wypadki rozegrały się w tempie błyskawicznem. Chodziło o to, by spotkanie odbyło się jaknajszybciej, nim wieść o zwadzie dotrze do króla, który mógł poprostu nakazać aresztowanie obydwu przeciwników. To też już następnego ranka, kiedy wczesne, przedwiosenne słońce anemicznym blaskiem prześwietliło zamarzły krajobraz, Branicki i Casanova spotkali się w pewnej podwarszawskiej miejscowości. Stanęli naprzeciw siebie z pistoletami w prawicach, obaj niezwykle urodziwi, jeden gładką, salonową urodą włoskiego aktora, drugi butny, zawadjacki wielmoża, żądny śmierci znienawidzonego rywala. To on właśnie nastawał na wybór pistoletów, podczas gdy mniej zawzięty i ostrożniejszy z natury Casanova



Obaj przeciwnicy zmierzyli się wzrokiem...

widziałby chętniej broń białą, a więc mniej niebezpieczną. Nie było jednak rady: czas naglił, a Branicki był uparty. Odeszli więc od siebie na kilkanaście zaledwie kroków, zdjęli kapelusze i podnieśli pistolety do oczu. Dłoń Casanovy drżała lekko: oto widział się w obliczu śmierci, którą szykował mu obcy przeciwnik, w obcym, dalekim od ojczyzny kraju. Ścisnął kawaler szczęki, by nieliczni widzowie tej dramatycznej sceny nie dostrzegli ogarniającego go wzruszenia. Zrobiło mu się żal życia, z którego potrafił tak po mistrzowsku korzystać. Ślubował sobie w duchu, że jeśli wydostanie się z tej opresji, wróci pod słoneczne niebo Italji, nad modry Adrjatyk i do ojczystej Wenecji. Po takiem postanowieniu wnet odzyskał spokój, tak bardzo w tej chwili potrzebny. Obaj przeciwnicy zmierzyli się wzrokiem, a potem raz jeszcze spojrzeli w blade słońce marcowe, jakby żegnając się ze światem.

Mierzyli długo, starannie i huk obustronnych wystrzałów zlał się w jeden. A kiedy rozwiały się lekkie obłoczki dymu, ujrzano, że ręka kawalera de Seingalt zwisa bezwładnie, a cześnik... cześnik leży na ziemi... bez ruchu... nieprzytomny, a może i martwy?

Nie, Branicki żył jeszcze, choć krew obfitym strumieniem sączyła się z wielkiej rany na brzuchu. Ocknąwszy się na skutek bólu, jaki mu sprawiał opatrunek, zwrócił się do swego przeciwnika i rzekł słabym głosem:

— Zabiłeś mnie, kawalerze! Czeka cię sprawa i... wyrok śmierci! Jestem urzędnikiem Korony... Ratuj się więc, kawalerze, ucieczką... Nie masz ani chwili do stracenia. Bierz moją sakiewkę, znajdziesz tam 400 dukatów na koszta podróży...

Ten gest człowieka, który mimo spodziewanej śmierci myślał o swym przeciwniku tak rycersko i bez cienia mściwej złośliwości, wzruszył kawalera do głębi. Przecząco potrząsnął głową i oświadczył, że gotów jest ponieść odpowiedzialność za swój postępek. Odmówił również przyjęcia pieniędzy i uścisnąwszy serdecznie bezwładną dłoń niedawnego przeciwnika, wrócił do stolicy, gdzie zamieszkał w klasztorze Franciszkanów. Tu okazało się, że kontuzja jego jest poważniejsza, niżby się zdawało. Jakkolwiek kula została wyjęta, dłoń kawalera puchła coraz bardziej i wreszcie konsyljum orzekło, że zaszedł wypadek gangreny i amputacja jest nieunikniona. Ale Casanova przedkładał śmierć nad kalectwo i na operację nie pozwolił. Okazało się wkrótce, że postąpił bardzo rozsądnie, bo spuchlizna zaczęła koniec końców ustępować i pewnego dnia wiosennego kawaler de Seingalt, bardzo jeszcze osłabiony, ale zdrów i nieposzwankowany na ciele, podniósł się z łoża i kazał zawieźć do pałacu cześnika. Branicki zaczął właśnie w tym czasie przychodzić do siebie. Przez długie tygodnie walczył ze śmiercią, zwyciężyła jednak niedźwiedzia a może hajdamacka raczej natura i rana zaczęła się zasklepiać. Niedawni przeciwnicy przywitali się serdecznie, pojedynek bowiem wyrobił w nich wzajemny względem siebie szacunek. Branicki przekonał się, że Casanova umie stawiać czoła niebezpieczeństwu, a znów kawaler de Seingalt nie krył swego podziwu dla rycerskiej wielkoduszności cześnika.

Jakkolwiek spotkanie z Branickim przydało Casanovie na salonach warszawskich uroków bohaterstwa, ale nie udało się kawalerowi poskromić rozbudzonej w obliczu śmierci tęsknoty za ojczyzną. Pożegnał się więc z warszawskimi przyjaciółkami i przyjaciółmi i — obdarzony na wyjezdnem sakwą złota przez króla — ruszył w drogę, niczem ptak wędrowny, albo raczej barwny motyl, który trawi życie w poszukiwaniu najpiękniejszych kwiatów natury. Ale wspomnienie postoju w Warszawie do końca życia zachował Casanova w najmilszej pamięci, poświęcając mu niejedną kartę swych pamiętników.

Z TEKI MUZYCZNEJ „ASA"

KOLENDA KOLENDA

MUZYKA JADWIGI MEHOFFEROWEJ

I.

Ja-dą, ja-dą kró-lo-wie, je-den w dro-giej szka-tu-le mu zło-to,
A król trze-ci z od-da-li nie ma pe-reł, ko-ra-li ni zło-ta,

by je zło-żyć pod no-gi tej dzie-ci-nie u-bo-giej z o-cho-tą,
toć gdy spoj-rzy na o-wych, łza mu z o-czu su-ro-wych mi-go-ta,

dru-gi w skrzy-ni zam-czy-stej wie-zie bi-sior sreb-rzy-sty szkar-ła-ty
skła-da je-den bi-sio-ry, skła-da dru-gi am-fo-ry du-ka-tów,

I ko-ra-le na stro-je i kosz-tow-ne zà-wo-je na sza-ty.
Za-się trze-ci w po-ko-rze, po-de-bra-ny miód w bo-rze, chleb kwia-ty.



O tem ci o-ni świę-ci Oj-co-wie i pro-ro-cy
Że nie-bie-skie ob-ło-ki Zbaw-cę na świat sze-ro-ki

pro-ro-ko-wa-li, Aa-ro-no-wa różdż-ka,
wy-pu-ścić mia-ły. Cze-go cór-ka Sy-on,

Aa-ro-no-wa różdż-ka za-kwit-nąć mia-ła,
cze-go cór-ka Sy-on już do-cze-ka-ła.–

Rozstrzygnięcie
KONKURSU „ASA"
na najlepszą nowelę.

Orzeczenie Sądu Konkursowego

W dniu 10 grudnia 1937 zebrał się Sąd Konkursowy, ażeby ostatecznie rozstrzygnąć **Konkurs „Asa" na nowelę**, rozpisany w nrze 24 „Asa" z 1936 r.

Sąd Konkursowy stwierdza z żalem, że mimo liczebnie bardzo obfitego plonu Konkursu (464 prac), nie znalazł jednak wśród nadesłanych utworów ani jednego, któryby wyróżniał się wybitnym talentem nowelistycznym, szczególnie oryginalnym tematem czy ujęciem i przekonywującą psychologją bohaterów.

Uważając się jednak za zobowiązanego do przyznania nagród w myśl warunków Konkursu, Sąd Konkursowy przyznał nagrody **względnie najlepszym nowelom w następującej kolejności:**

Nagrodę I w sumie 200 zł: noweli „On i ona" — godło: „Zagadka".

Nagrodę II w sumie 150 zł: noweli „Łaska niebios" — godło: „Credo quia absurdum".

Nagrodę III w sumie 100 zł noweli „Drzwi" — godło: „Mniej więcej".

Po przyznaniu nagród Sąd przystąpił do otwarcia kopert z nazwiskami laureatów. Okazało się, że autorem noweli, której przyznano

I nagrodę, jest p. Wanda Białowiejska (Warszawa Śliska 45, m. 23),

autorem noweli, której przyznano

II nagrodę, jest p. Aleksander Junosza-Olszakowski (Poznań, Grottgera 13),

wkońcu autorem noweli, której przyznano

III nagrodę, jest p. Marja Redliczówna (Kraków, Al. Słowackiego 5, m. 3).

Pozatem Sąd Konkursowy wyróżnił następujące nowele:

„Droga Łukasza" — godło: „Poleszuk".
„Grzelowa kobieta" — godło „Przeloty",
„Hyclowa dola" — godło: „Joanna".
„Kaflowy piec" — godło: „Malabar",
„Laureat" — godło: „Pombe".
„Leśna przygoda" — godło: „Pierwszy raz",
„Malinowe lody" — godło „Wiktor",
„Przygoda, której nie było" — godło: „100",
„Tatusiu" — godło: „Krzywda",
„Trzy marsze" — godło: „A może teraz".
„W klatce" — godło: „Leda".
„Życie jest piękne" — godło: „Dunajec".

Autorzy wyróżnionych nowel zechcą w przeciągu dni 14-tu nadesłać do redakcji „Asa" oświadczenie, czy godzą się na otwarcie kopert z ich nazwiskami i ogłoszenie ich w „Asie".

Autorzy nienagrodzonych i niewyróżnionych nowel zechcą również do dni 14-tu bądź osobiście odebrać swe prace, bądź podać adres i załączyć znaczek na koszta przesyłki, poczem utwory zostaną im zwrócone.

Sąd Konkursowy:

Dr Józef Flach
przewodniczący
Jarosław Janowski
Juljusz Mieroszewski
Ludwik Szczepański
Witold Zechenter



J*ak w modzie, tak też w polityce przychodzą coraz to nowe, narodowe pierwiastki do głosu: pewnego dnia dowiaduje się cały świat, że od tej chwili zaczyna się „nosić" pewne hasło, pewien kraj, pewne koncepcje. Jedna lub druga podróż dyplomatyczna i, dotąd mało ciekawy pod względem politycznym, kraj, staje się modny. Tak było z Austrją, z powodu ciągłych podróży ks. Walji, obecnego ks. Windsoru, tak było z Hiszpanją, tak wkońcu jest obecnie z Chinami i Japonją... I, warto to zapamiętać, im więcej dany kraj poniósł strat, tem jest modniejszy... Możnaby to trawestować jeżeli mowa o modzie, że tem modniejszy jest krój sukni, im więcej przyczynił się do zdrady małżeńskiej, czyli klęski męża... Niema rady, polityka i moda rządzą się swoistą logiką.

HISTORJA W SZKOCKĄ KRATĘ

JAN MALESZEWSKI

Taka właśnie moda przyszła ostatnio w Imperjum Brytyjskiem na Szkocję. Wprawdzie zawsze Anglicy chętnie chlubili się „swoimi" Szkotami, tak jak myśliwy chlubi się wspaniałemi rogami ubitego jelenia, lub podróżnik po Afryce skórą zabitego przez siebie tygrysa, ale dopiero od chwili wstąpienia na tron J. K. Mości Jerzego VI. i królowej Elżbiety, Szkotki, — jak wiadomo — z domu, kraj ten stał się jeszcze bardziej à la page. Szkocja to niejako psychologiczny rezerwat XX. wieku, nie mówiąc już o tem, że Szkot jest rezerwatem gotówki, gdyż rezerwuje ją wyłącznie dla siebie! Gdy inne narody idą, a raczej lecą naprzód, cieszą się z postępu, wyrzucają stare poglądy i meble na strych. Szkoci, wychowani w swych górach, atawistycznie przywiązani do tradycji, trzymają się dnia wczorajszego. Jak wszyscy górale mają z innymi pobratymcami geograficznego położenia wspólne cechy: są zamknięci w sobie, jak kotliny otoczone górami, oszczędni, dumni, naiwni, bo od wieków odcięci od t. zw. szerokiego świata, przywiązani do tradycji i oryginalni. Oryginalność ta nietylko objawia się w życiu codziennem, ale też w ich ustroju społecznym, który, mimo XX. wieku opiera się na klanach.

Trudno byłoby przejść choćby pokrótce dzieje szkockich klanów, stwierdzimy tylko to, że opierają się one na tradycji pochodzenia od jednego praojca, podobne są do naszych rodów za czasów piastowskich, i do dziś dnia, to jest najbardziej w tem wszystkiem ciekawe, zachowały swą spoistość, organizację i nie stanowią jedynie tradycji, lecz żywy, rozwijający się organizm. Poszukajmy analogji w Polsce może ułatwi nam ona zrozumienie klanów. Jak wiemy od wspólnego również przodka pochodzące rody (gentes), zachowały w Polsce pewną organizację do pocz. XV. wieku, następnie zaś rozpadłszy się na liczne rodziny, które poprzybierały swe nazwiska od posiadanych włości, straciły w poszczególnych linjach łączność wewnętrzną. Takich rodów było sporo, wymieńmy choćby tylko wybitniejsze: Dołęgów, Starżów, Jastrzębców, Ślepowrończyków, Sasów, Nałęczów, Łodziów, Nowinów, Godziembów, itd. Już w wieku XVI. wspólny herb, jakim się rodziny pieczętowały, dawały najwyżej asumpt do tytułowania się „kuzynem", ale raczej à la mode de Bretagne, co nie miało faktycznych życiowych skutków. Gdy więc system rodowy w Polsce upada już wcześnie, i dzisiaj jest pojęciem czysto naukowem, niebardzo zrozumiałem dla ogółu, w Szkocji rody, wielkie klany, zachowały swą witalność. Jeżeli jednak porównujemy polskie rody z klanami szkockiemi, musimy też wytknąć dużą różnicę, jaka zachodziła między niemi: u nas rody te były wyłącznie szlacheckie, chlubiły się swym klejnotem, wywodziły swą genealogję od tego czy innego rycerza, i choćby jego potomkowie, najbardziej byli zbiedniali, zachowywali, jak to bywa u szlachty zagrodowej, swe tradycje szlacheckie, odróżniające je od chłopa. — W Szkocji, może jest to jedyny kraj o podobnych stosunkach, członkowie klanu nie mają poczucia swej „szlacheckości" w znaczeniu wyższości socjalnej. Gdy n. p. do klanu Maclean należy kilkadziesiąt tysięcy osób, to, mimo różnic majątkowych, stanowiska i t. d., wszyscy klanowcy poczuwają się nietylko do wspólnego pochodzenia, i spójni niejako rodzinnej, ale wszyscy są równie „dobrzy". Różnice socjalne w Szkocji nieomal nie istniały i nie istnieją, chociaż istnieją różnice materjalne. Jak mówi uczony autor dzieła o historji Szkocji, Thomas Innes of Learney, „w takim kraju jak Szkocja, opierającym się w swej budowie społecznej na systemie klanowym, tj. że każdy członek klanu ma poczucie pochodzenia od jego założyciela, jak też naczelnik klanu i członkowie jego jak i „duine'uasal" tj. ci, którzy wyprowadzają swe pochodzenie z głównej linji klanu, nie mogą istnieć różnice socjalne". Jest to zrozumiałe, gdy weźmiemy pod uwagę, że do klanu należą zarówno wielcy panowie, arystokracja, jak też skromni rolnicy, inteligenci na skromnych posadach, czy emigranci pracujący w dalekich dominjach i kolonjach. Sprawa ta jest bezwątpienia dziwna dla ludzi z kontyngentu.



Ten ustrój rodowy powoduje oczywiście, że większość Szkotów orjentuje się świetnie w sprawach klanowych i rodzinnych, i w rodzinie właśnie, w tradycji, w dawnych zwyczajach szuka swych żywotnych soków. Przysłowiowa duma Szkotów, — wszak istnieje angielskie przysłowie „Proud as a Scot" — opiera się na dawnych, bardzo nieraz świetnych dziejach klanów. Zjednoczywszy się z Anglją w jedno królestwo dopiero w r. 1707, Szkocja posiada wspaniałą historję, pełną romantycznych, bohaterskich walk. Chociaż ogólnie biorąc na wspomnienie Szkocji nasuwają się zaraz i.... jedynie Stuartowie, to jednak były tam rody starsze i potężniejsze. Nic dziwnego, że tak duże zainteresowanie społeczeństwa sprawami rodzinnemi spowodowało uznanie herolda szkockiego, tj. Lord Lyon King of Arms za ministra oraz zachowało mu miejsce w parlamencie szkockim. Istniejący w Szkocji urząd heroldyjny jest instytucją nadwyraz ciekawą pod względem ustrojowym i gra dużą rolę w życiu narodu.

Poniżej: Strój narodowy Szkotów w przeszłości — według sztychu Göza z około 1770 roku.



Jakież to są te klany szkockie? Ile ich jest, jak się zwą? Trudno na to odpowiedzieć, gdyż mówiąc o historji klanów, trzebaby rekapitulować historję samej Szkocji. Ograniczmy się do stwierdzenia: że w 81 r. ery chrześcijańskiej było w Szkocji 21 klanów, w XVI. zaś wieku istniały 32 klany, że w mało jakim kraju znano tyle tytułów, co w Szkocji, bo na miljon i 250 tys. mieszkańców w pocz. XVIII. w. było aż 154 parów, że pochodzenie klanów gubi się zazwyczaj w średniowieczu, a powstanie ich prawie zawsze łączy z jakimś historycznym wypadkiem. Podobnie jak nasze zajazdy sąsiedzkie, nasze waśnie graniczne, tak barwnie opisane przez naszych poetów i Szkoci posiadają w swej przeszłości nieraz krwawe walki rodów. Wśród potężniejszych klanów należy wymienić klany Cameron, Campbell, z którego wyszli ks. of Argyll, Chisholm, Colquhoan, Davidson, który wsławił się w walce z klanem Macpherson, Drummond, Fergusson, z którego w Polsce żył znany kupiec w XVIII. w. Tepper-Fergussen, Forbes, Fraser (jedna linja żyje w Polsce), Gordon, wywodzący się z czasów króla Malcolma III, klan Grahamów, Leslie, Macaulay, Mac Intosh, Macdonald, z którego pochodził zmarły premjer angielski, Macduff, Macgregor, Macnab, Malcolm, i wiele innych.

Na lewo od góry: Tartany klanów szkockich: 1. Klanu Menzies z czasów Malcolma III. — 2. Tartan stronników króla Jakóba, w XVIII w. 3. Tartan Roberta Mac Gregor, zwanego Rob Roy, bohatera szkockiego. — 4. Tartan, noszony przez dom Stuartów podczas polowania. — Tartan klanu Skene z XVIII w.



Oset — symbol Szkocji.



1.



2.



3.



4.



5.

Strojem narodowym Szkotów, to oryginalna „spódniczka" w kratę, marynarka z grubego wełnianego materjału, czapeczka i skórzana torba z lisim ogonem. Strój ten bardzo wygodny i dostosowany do życia w górach, po dziś dzień cieszy się dużą popularnością nietylko wśród Szkotów, ale też Anglików. Dom królewski zawsze podczas swego pobytu w Szkocji i poza nią nieraz przywdziewa ten strój, by podkreślić swe sympatje dla tego oryginalnego narodu. Zwłaszcza od chwili, jak powiedzieliśmy, wstąpienia na tron królowej Elżbiety. Szkocja stała się jeszcze bardziej popularną w Anglji. Przecież, — może jako jeden z skutków tej popularności? — w roku przyszłym urządza się olbrzymią wystawę imperjalną w Bellahouston Park pod Glasgow, która ma przewyższyć nawet wystawę w Wembley z r. 1924—1925.

Mówiliśmy o żywotności organizacji klanów w Szkocji w chwili bieżącej: dajmy tego charakterystyczny przykład. Oto lat temu kilka obchodził szef klanu Maclean — płk. Fitzroy Donald Maclean, właściciel rodowego zamku Duarte Castle na wyspie Mull swe 100 urodziny. Klan Maclean liczy obecnie kilkadziesiąt tysięcy osób. w samej Szkocji jest ich 15 tys., w Kanadzie i U. S. A. jakieś 20 tys. Otóż urodziny szefa klanu wzbudziły ogólną radość u klanowców, którzy przesłali mu życzenia z 2500 podpisami! Macleanowie, jak wiele innych klanów, prowadzili zawziętą walkę z rodem Campbell, a dopiero w r. 1932 spór ten został po 200 blisko latach zażegnany. Początkiem sporu był fakt, że przodek Macleanów podejrzywał żonę z domu Campbell o zdradę małżeńską. Zazdrosny mąż przywiązał ją do skały na wyspie Mull, pozostawiając na pastwę fal morskich. Dopiero kuzyn jej, Campbell, uratował nieszczęsną ofiarę, wypowiadając równocześnie krwawą wojnę całemu klanowi Maclean. Obecnym szefem klanu, po śmierci sir Fitzroy Donalda Maclean, jest wnuk jego sir Charles Hector Fitzroy Maclean, który objął tę godność jako 27-my szef zrzędu. Sprawa przewodniczenia klanowi brana jest nadwyraz poważnie i nieraz pretensje niektórych członków klanu w tym względzie opierają się o najwyższy sąd, względnie urząd heroldyjny Szkocji. Niedawno temu wystąpiła z pretensją przewodzenia klanowi wspomnianemu Maclean, panna Catriona Louise Maclean of Ardgour, pochodząca z bocznej linji klanu. O sprawie tej rozpisywał się poważny „Times" i wiele pism angielskich śledząc z uwagą perypetje dzielnej miss, czującej powołanie do rządzenia potężnym klanem.

Przyjrzyjmy się teraz zewnętrznym oznakom klanu — tartanom szkockim. Znamy narodowy ten strój z licznych fotografij szkockich pułków, mniej znanym jednak szczegółem jest to, że każdy klan szkocki posiada inny wzór swego kiltu, tj. chusty, którą nosi Szkot jako spódniczkę i rodzaj peleryuki. Obecnie kilt w tej formie jest rzadszy: zastąpiła go spódniczka z marynarką „cywilną", z wełnianiego materjału „home-spun", w jednolitym kolorze. Pochodzenie kiltu możnaby wywieźć z prażródła stroju ludzkiego, z chlamidy, która następnie różnie została podzielona, i przedzierżnęła się w poszczególne części ubrania. Jak dalece kilt stanowi dumę Szkotów, świadczy o tem istnienie towarzystwa „Kilt Society", mającego za zadanie szerzenia tego stroju. Ostatnio omawiało ono zagadnienie, czy również kobiety mogą nosić ten strój. — Niejaki p. E. M. Fergusson wystąpił też w „Timesie" z projektem, aby noszenie tartanu dozwolone było tylko tym, którzy wykażą się pochodzeniem góralskiem, tj. „czystym" Szkotem, byłby to więc swego rodzaju „numerus clausus", tak dzisiaj modny, odnośnie szkockiego stroju narodowego! — Nic dziwnego, że z czasem odrębność klanów wyraziła się również w odmiennym wzorze, używanych przez nich materjałów. Różnorodność krat szkockich jest wielka: przeważają w niej kolory czerwony, zielony, ale nie brak też połączeń żółtego z zielonym i czarnym, czarnego z czerwonym, zielonego z żółtym itd. Materjały szkockie robione wyłącznie domowym sposobem, na farmach, po chałupach czy owczarniach, na prymitywnych krosnach, stały się jakby prototypem prostego, trwałego a jednak nadwyraz wytwornego materjału, który zwłaszcza dziś, gdy moda



Narodowy strój szkocki przetrwał również jako mundur wojskowy pułków szkockich.

Dokończenie na str. 38-ej

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka – obliczone na 3–4 osoby.

ZUPA „À LA REINE". Pół kury, pół kg mięsa wołowego, oraz sporo kości wołowych lub cały ogoń wołowy soli się, zalewa **zimną wodą** i stawia do gotowania. Po zagotowaniu dodaje się dużo włoszczyzny i gotuje dalej, aż mięso od kości odstanie, wtedy obiera się mięso, miele je wraz z . dkg ryżu uduszonego na sypko i przeciera przez sitko, przelewając odcedzonym z jarzyn rosołem. Uzyskaną w ten sposób zupę zagotowuje się, zaciąga dwoma żółtkami i podaje z smażonym grzybkiem lub groszkiem ptysiowym. Zupa ta jest bardzo pożywna, zalecana też ozdrowieńcom i osobom anemicznym.

MACEDOINE Z JARZYN. Dwa duże gotowane ziemniaki pokrajane w plasterki, 4 korniszony również cienko pokrajane, parę upieczonych buraczków obłupanych, pokrajanych w drobną kostkę, ugotowany w słonej wodzie kalafjor, podzielony na drobne różyczki, kilka szparagów i trochę zielonego groszku z puszki, główkę selera gotowanego, trochę gotowanej marchewki, kropi się na misce octem, przykrywa i odstawia. W międzyczasie przeciera się na inną miseczkę 4 twarde żółtka, dodaje 1 żółtko surowe, łyżkę musztardy francuskiej, troszkę soli i pieprzu; 8 łyżek oliwy dolewa się kroplami do żółtek i uciera wszystko na gładki, sztywny majonez, poczem dodaje się 4 łyżki octu winnego, rozprowadza nim majonez i miesza z przygotowanemi jarzynami. – Formę bombową wylewa się auszpikiem, a kiedy ten się zetnie i formę na palec grubo przykryje — układa się na auszpiku plasterki twardych jaj, marynowane grzybki i jarzynki w ładny wzorek, polewa auszpikiem, nakłada się sałatą i wylewa resztę auszpiku, poczem zamraża się formę w lodzie. Przed wyrzuceniem sałaty z formy, należy formę na moment potrzymać w gorącej wodzie, poczem sałata łatwo wypadnie z formy. Zamrażanie sałaty w auszpiku nie jest konieczne, macedoine wygląda również ładnie na salaterce, przybrane z wierzchu jarzynkami i grzybkami.

FASZEROWANE PIECZARKI. Z oczyszczonych pieczarek wycina się stopki tak, aby główki pozostały w całości. Wszystkie te odpadki sieka się drobno i dusi z łyżeczką cebulki i zielonej pietruszki na maśle z troszką soli i pieprzu. W brytwance na maśle układa się główki pieczarek wgłębieniem wgórę tak, że tworzą miseczki, w które nakłada się przygotowany farsz, wymięszany po ostudzeniu z jajkiem. Wierzch posypuje się tartą bułką, kropi kwaśną śmietaną i wstawia na 10 minut do gorącego piecyka. Pieczarki takie stanowią ładne przybranie półmiska z pieczystem.

GŁOWA WIEPRZOWA — POTRAWA NOWOROCZNA uważana jest w niektórych krajach jako omen szczęścia i nie brakuje jej na żadnym stole w dniu Nowego Roku. Podawać ją można na ciepło z tartym chrzanem, lub jako galantynę. W pierwszym wypadku gotuje się dobrze oczyszczoną i wymytą głowę z kawałkiem cebuli, ząbkiem czosnku, pietruszką i marchewką, oraz kilku ziarnkami pieprzu, zalaną wodą z solą „do przykrycia". Z miękkiej zupełnie głowy wyjmuje się ostrożnie kości tak, aby mięso pozostało w całości, kraje ostrym nożem w podłużne płaty, zestawia zpowrotem w całość i obsypuje tartym chrzanem. Osobno podać można ocet i oliwę. W ten sposób podaje się głowę wieprzową na ciepło jako przystawkę. Jako danie śniadaniowe przyprawia się z głowy wieprzowej galantynę w następujący sposób: Ugotowaną i pokrajaną jak wyżej podano, układa się głowę w stosownej formie, wylanej auszpikiem. Na auszpik używa się silnie wygotowanego rosołu, w którym się głowa gotowała, po poprzedniem zagotowaniu go z paru białkami i następnem przecedzaniu przez płótno z dodatkiem 4 listków żelatyny (na litr płynu). Dla smaku dodaje się szklaneczkę wina i sok z całej cytryny, formę wypełnia się resztą auszpiku i zastudza przez 24 godziny w chłodnem miejscu.

INDYK PIECZONY Z FARSZEM PASZTETOWYM. Odleżałego w soli indyka, wymywa się z soli i wyciera do sucha ściereczką. Następnie napełnia się szyję indyka farszem, który poniżej podaję, zaszywa otwór, szpikuje pierś gęsto słoninką, owiązuje szpagatem, aby skrzydła nie odstawały, układa w brytwannie, nalewa do połowy wodą, wstawia brytwankę dobrze nakrytą do gorącego piecyka. Od czasu do czasu odwraca się indyka, znów szczelnie przykrywa i dusi tak długo, aż się wszystek rosół wgotuje. Wtedy powinien być prawie miękki, pozostaje jeszcze zrumienienie go z obu stron, przyczem należy go pilnie oblewać tłuszczem.

Farsz do napełniania szyi sporządza się z wątróbki cielęcej. Pół kilo wątróbki miele się i przeciera przez sito, dodaje trochę soli i pieprzu. 10 dkg młodej gotowanej słoniny, pokrajanej w drobną kostkę, 3 żółtka uciera się naprzód z łyżką masła, potem z wątróbką, dodaje pianę ubitą z 2 białek i dwie łyżki tartej bułki. Ponieważ farsz w trakcie gotowania silnie narasta, powinno się szyję napełniać tylko do połowy.

Sc. Ko.

NOWOSCI GOSPODARSTWA DOMOWEGO



Na wystawie gospodarstwa domowego „Dima" w Zurychu zademonstrowano szereg praktycznych wynalazków, wśród których znalazł się również specjalny bęben do nawijania sznurów, przeznaczonych do wieszania bielizny po praniu. Ten przyrząd zapobiega brudzeniu się sznurów, poplątaniu się ich i ułatwia szybkie ich nawijanie i rozwijanie.

Fot. Zygmunt Borzęcki — Zurych.

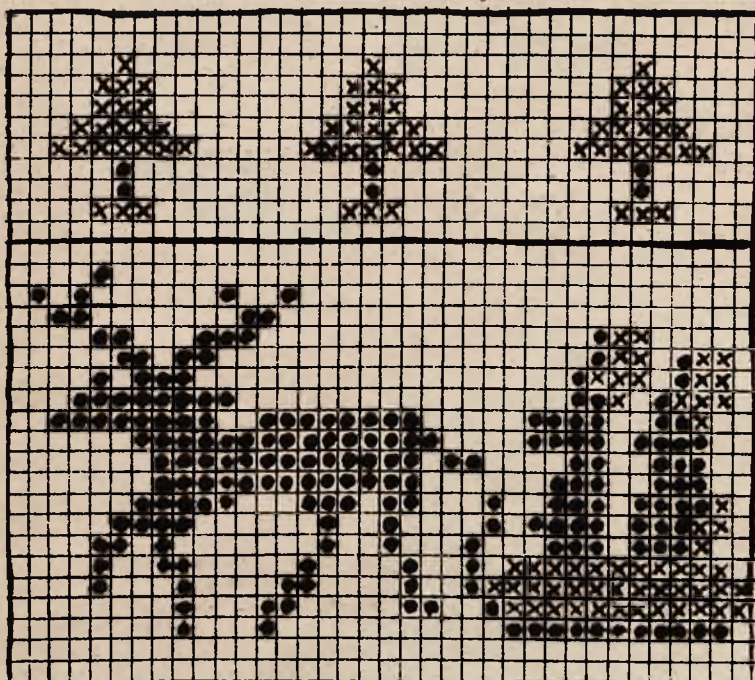
7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

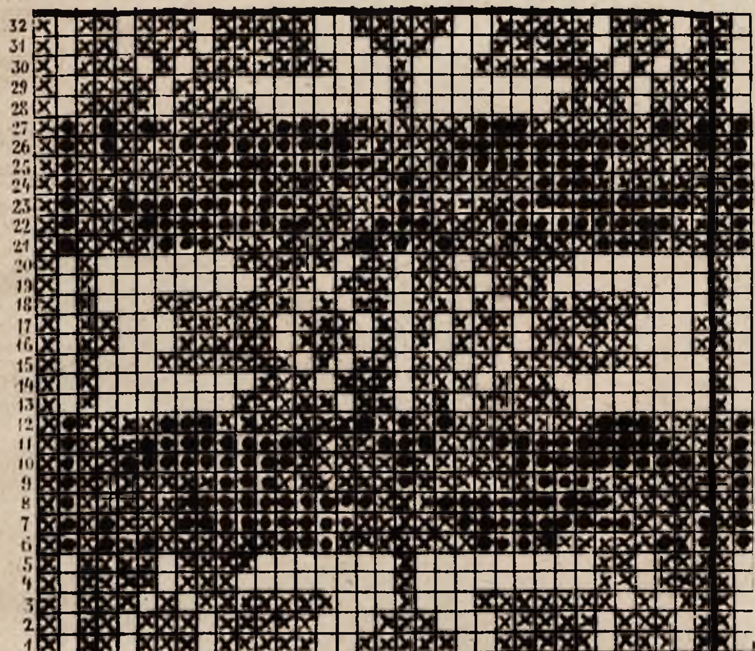
Tydzień 53 — **Grudzień** — 31 dni

NIEDZIELA **26** Szczepana męcz.	Zupa à la reine. Macedoine z jarzyn. Comber sarni z makar. i brusznicami. Kompot mieszany. Torty i ciasta. Kolacja: Ryba marynowana. Zimna polędwica z sosem tatar.
PONIEDZ. **27** Jana ew.	Kleik z perłówki. Rizotto z podróbkami. Zraziki cielęce w sosie pomidorowym z kluseczkami. Grzanki ze strucli z sokiem malinowym. Kolacja: Sałatka włoska.
WTOREK **28** Młodzian. męcz.	Zupa grzybowa z płatkami. Naleśniki z mięsem. Zając duszony w naturalnym sosie z buraczkami. Kompot z jabłek. Kolacja: Pasztet zajęczy na ciepło.
ŚRODA **29** Tomasza b.	Zupa rumiana "Julienne". Wątróbka cielęca po wiedeńsku. Zrazy zwijane z kaszą. Budyń z bułki z waniljowym sosem. Kolacja: Parówki z chrzanem.
CZWARTEK **30** Dawida kr.	Zupa ryżowa. Czernina z przodków zajęczych z bułczanemi knedelkami. Kotlety wieprzowe duszone z kapustą. Omlet z konfiturami. Kolacja: Jaja na szynce.
PIĄTEK **31** Sylwestra pap.	Ziemniaczanka. Brukselka i salsefia z rumianem masłem. Płatki z grzybami lub szynką. Kompot mieszany z suszu. Sylwestrówka: Ostre kanapki do wódki. Marynowany karp w majonezie. Kalafior z rumianem masłem. Ozór peklowany z sałatą z czerwonej kapusty i fasolki. Budyń pączowy płonący. Pączki, owoce, cukry. Nad ranem barszcz na rosole.

KOMPLET NOWOŚCI NORWESKICH



Wzór szalika włóczkowego, u góry wzór nr. V. i u dołu wzór nr. IV.

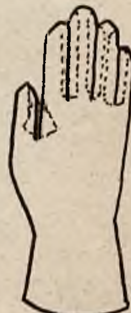


Wzór nr. VII.

Niewątpliwie najpiękniejsze modele ozdobnych a przytem celowych i praktycznych okryć sportowych dają nam kraje północne, gdzie zima trwa długo, a narty i łyżwy są jedynemi środkami komunikacyjnemi przez wiele miesięcy w roku. Wytworzyła się się też w tych krajach wielka rozmaitość wzorów i ściegów, łączących barwność z techniką. Należą tu wszelkie wzory „norweskie", wykonywane w barwach, przeważnie naturalnych wełny, a więc czarnej i białej, w połączeniu z czerwoną. Przyjmując te wzory, nie musimy jednak trzymać się niewolniczo surowej prostoty barw. Opisane przez nas modele utrzymane są w rozmaitych zestawieniach kolorystycznych, które pozwolą na zastosowanie ich do rożnych kostjumów narciarskich.

Model 1 przedstawia rękawiczki, nadające się do stroju sportowego, a wykonane szydełkiem. Forma tych rękawiczek zależy od wielkości ręki, sporządzamy więc ją sami, kładąc na papierze płasko dłoń ze złożonemi palcami i obrysowując ją. Szemat na rysunku wyjaśnia, jak należy podzielić ten zarys. Według zarysu szydełkujemy teraz 2 części. Jedną dokładnie, jak na rysunku, zaczynając na 5 cm powyżej przegubu na szerokość o 3 cm większą niż szerokość przegubu. Szydełkujemy włóczką granatową „Niebieski Trójkąt" marki „Trójkąt w Kole", szydełkiem nr 2,5. Jako ścieg nadają się rzędy półsłupków, lub zwykły ścieg tunezyjski. Na ten ścieg robimy odpowiednio długi łańcuszek z oczek powietrznych, następnie przeciągamy przez każde oczko nitkę, tworząc kluczki, które pozostawiamy na szydełku. Po dojściu do końca rzędu cofamy się. Nabieramy nitkę na szydełko i zbieramy pierwszą kluczkę, znajdującą się na szydełku, następnie stale nabieramy nitkę i zbieramy po 2 znajdujące się na szydełku kluczki. Po ukończeniu całego rzędu powrotnego, wykonujemy drugi rząd prawostronny. Zaczynamy oczkiem powietrznem, wkłuwamy szydełko w drugą pionową nitkę poprzedniego rzędu i przeciągamy kluczkę. Przeciągamy kluczki przez wszystkie następne pionowe nitki do końca rzędu, pozostawiając wszystkie kluczki na drucie. Powtarzamy teraz naprzemian rząd powrotny i drugi rząd prawostronny. Formę nadajemy dodawaniem i ujmowaniem z brzegów. Po ukończeniu pierwszej części przeciągamy ją w ukośne pasy czerwone i żółte, tworząc kratę. — Drugą część wykonujemy tak samo, tylko w miejscach oznaczonych kropkami na schemacie, dodajemy małe boczne części skośne, do palców proste. Części te można także wykonać osobno i wszyć następnie. Gotowe części ze-

Dokończenie na str. 38

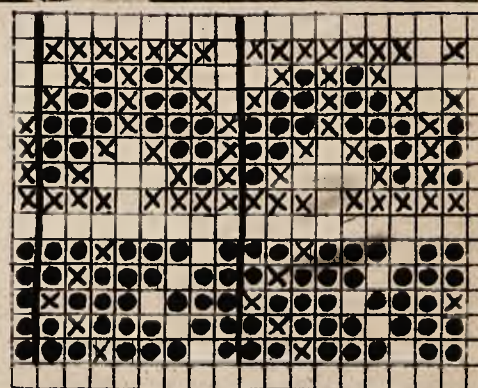


Na prawo: Wzór rękawicy włóczkowej.

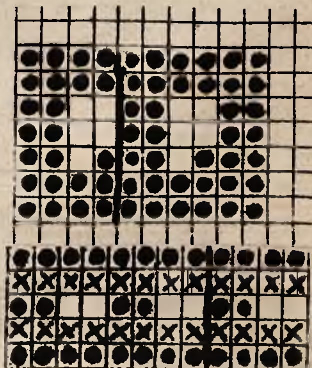


Powyżej i poniżej: Włóczkowe czapki, szale i rękawice o barwnych motywach lapońskich.

Fot. Imre von Santho.



Powyżej: U góry wzór nr. I i u dołu wzór nr. II.



Na prawo: Wzór nr. III.

Na prawo: Wzór nr. VI.



amor na śniegu





W drodze do Jungfrau-Palace...



ziało się to na krótko przed świętami Bożego Narodzenia. Imponujący „Jungfrau Palace Hotel" w Davos zapełniał się szybko bogatą międzynarodową publicznością, która tłumnie przybywała ze wszystkich stron świata. Sanie hotelowe zaprzężone w parę ognistych rumaków w białej uprzęży, wracały z dworca kolei elektrycznej wypełnione po przyjściu każdego pociągu po brzegi kuracjuszami i ich bagażem. Wspaniały hall hotelowy i szereg salonów, wyścielanych puszystemi dywanami, palarnia, obszerny bar, sala restauracyjna, tea room i jeszcze setki innych zakamarków rozbrzmiewały kaskadami wesołych głosów, w językach wszystkich niemal narodów świata. Oszałamiający, różnobarwny tłum gości hotelowych używał życia i chłonął jego uciechy, niepomny na troski i żale szarego życia mas, które pozostały daleko za nim, hen w miastach i po wsiach.

Przepiękna zima alpejska roztaczała wokoło swój przepych, darząc przybyłych pogodą bez chmurki na błękicie nieba. Dolina Davosu tonęła w potokach upalnego słońca mimo, że był to dopiero grudzień. Słynna Parsenn — raj i marzenie narciarzy całej Europy, zapełniła się tysiącem spragnionych szaleńczych kilkunasto-kilometrowych zjazdów. Na pięknym stadjonie lodowym, gdzie już od rana rozbrzmiewały melodje ostatnich przebojów tanecznych — przy curlingu, wyciągach narciarskich t. zw. up-hill'ach, przy kasach kolejki linowej Schatzalpbahn, na otwartych tarasach wielu restauracyj, na których grzano się w słońcu, cedząc przedpołudniowy apéritif — wszędzie wrzało jak w ulu. Davos było w kulminacyjnym punkcie sezonu zimowego. Dyrektor „Jungfrau Palace Hotel" zacierał z zadowoleniem ręce i mrugając porozumiewawczo na portjera, zaciągał się dymem wonnego Henry Clay'a. Właśnie nadchodziła pora lunchu i wygalowany boy hotelowy, stojąc na tarasie, uderzał w miedziany gong, zwołujący gości na śniadanie. Zwolna ujęta w żółty marmur sala



Na lewo:
Za chwilę z przed hotelu wyruszy barwny kulig...



Poniżej:
Miłość rodzi się podczas tańca na śniegu...



Stacja Parsennbahn w Davos.



W niedźwiedziej bundzie na śniegu...





Kulig wjeżdża w dolinę Sertig koło Davos...



zaczęła wypełniać się rozbawionym tłumem... Pod czujnem okiem wytwornego maitre de hotel'a służba zaczęła bezszelestnie rozwozić hors d'ocuvres najprzedniejszej jakości. Piwniczny z wielkim srebrnym kluczem, zwisającym na łańcuchu, przyjmował od pięknych pań z czarującym uśmiechem zamówienia na napoje, doradzając przytem fachowo i wyjaśniając tajemnicze pozycje w bogatej karcie win.

Wśród gości, którzy zasiedli w sali, potworzyły się zgrane kółka i kółeczka, spędzające razem czas na nartach, lodzie, w sali dancingowej i przy bridge'u. Rozmowa prowadzona była nieraz bardzo swobodnie od stolika do stolika: padały uwagi, docinki i pikantne dowcipy. Największem powodzeniem u płci brzydkiej cieszyła się pewne młoda Angielka, którą nazywano Anną May Wong, a to z powodu nieco skośnych oczu i istotnego podobieństwa do sławnej star. Zamiary jednak wszystkich panów spalały na panewce. May Wong zakochana była bowiem po uszy w swoim nieodstępnym towarzyszu „Cherrym" — rasowym scotch-terrierze i poza im, no i oczywiście nartami nie widziała świata Bożego. Także i pan Bonilleveaux, generalny dyrektor stoczni okrętowych w Cherbougu i Marsylji, zakochany był po uszy w gibkiej sportgirl. Nie przeszkadzało mu, że regularnie codzień dostawał od niej kosza. Pani Bosshardt, młoda, piękna, no i bogata wdówka zezwalała łaskawie na hołdy, jakie składał jej doskonale zapowiadający się chirurg dr Jenniksen, docent uniwersytetu w Kopenhadze. Żona krezusa amsterdamskiego, pani van de Tnytten, której mąż wyjechał nagle w ważnych sprawach bankowych, irytowała całe swoje otoczenie, a specjalnie panie olbrzymią ilością bogatych toalet, które zmieniała kilkanaście razy na dzień, nigdy nie mając jednej i tej samej po raz drugi na sobie. Do tego towarzystwa należała jeszcze pewna gruba Amerykanka, wywołująca zgorszenie obgryzaniem pulardy w palcach, na których skrzył się tysiącem barw minjaturowy skład jubilerski, — czarnooka pani Sanabria z Wenezueli, oraz mocno już zaawansowana w latach panna Margreth Seelwood, która mieszkała stale w Indjach brytyjskich i łudziła się, że wszyscy mężczyźni szaleją za nią.



W porze południowej przybywał do Davos elektryczny ekspress engadyński, prowadzący wagony bezpośrednie z Paryża, Londynu, Berlina i Amsterdamu. Oto właśnie w chwilę po przyjeździe tego pociągu, gdy lunch miał się już ku końcwi i przy stolikach pito wonną mokkę, przed taras hotelowy zajechały sanie, a z nich wysiadła para podróżnych, na której skupiła się cała uwaga siedzących w sali jadalnej. Ona, dystyngowana dama w pięknem futrze z nurków — on, młody, przystojny mężczyzna, w doskonale sharmonizowanym stroju sportowym. Do sań podbiegła służba, a za nią dyrektor hotelu w głębokim ukłonie. W sali jadalnej zawrzało:

— Cóż za elegancka para! — rzucił dr Jenniksen.

— Tak, doktór ma rację — wtrąciła pani Bosshardt. — On ma prezencję nadzwyczajną. Ale proszę spojrzeć na nią... Wygląda przynajmniej o dziesięć lat starszą od niego!

— Co? dziesięć lat? — odezwał się uwodzicielski wamp w osobie pani van de Tnytten — o dziesięć lat to może w cieniu, ale w słońcu przynajmniej o piętnaście.

— To typowa weekendowa eskapada — wycedziła przez zęby Anna May Wong, zaciągając się wonnym Camelem.

— Doprawdy trzeba już być zupełnie bezwstydną, by tak publicznie afiszować się z takim młodym bubkiem... — dodała zgryźliwie Margrith Seelwood. Tu wtrącił się do rozmowy dyrektor Bonilleveaux: „A ja państwu mówię, że ta kobieta będąc niemłodą, ale mimo to piękną, ma najzupełniejszą rację".

Dalszą dyskusję przerwał concierge, który oznajmił gościom, że zajechał już autobus, którym narciarze udają się do stacji kolejki linowej i do nowego up-hill'a na przełęczy Strela, skąd startuje się do wspaniałego zjazdu wprost do Davos.





Z. Borzęcki.

Dok. nastąpi



Wszystkie zdjęcia: Fot. ZYGMUNT BORZĘCKI Davos.

Na lewo: „Up-hill" wyciąga piękną narciarkę na start do wspaniałych zjazdów w okolicy Davos...

Na prawo: Wokół stadjonu lodowego w Davos rozsiadła się luksusowa restauracja, w której od rana do późnej nocy przelewa się tłum międzynar. publiczności.



Dokończenie ze str. 8.

xemburg 1923: 216 zł., Jugosławja: 4, 14, Ysaye (Belgja): 4, 50, Czechy: 1, 26 zł., Hitler „cięty": 5,40, Gdańsk, Daposta (para): 3,32(!), San Marino 7,20, Rosja (lotniczy) 7,65, Gdańsk (Magdeburg) 2.16 itd., itd. U nas niestety nie można dostać za te kwoty w/wym. bloków a to z tej prostej przyczyny, że wskutek wprowadzenia przepisów dewizowych, otrzymuje się je z zagranicy tylko dzięki wymianie, co znów podraża koszta o wiele procent. Radą na to byłoby wydawanie co miesiąc nowego polskiego bloku, niech nas jednak Polski Związek Stowarzyszeń Filatelistycznych broni od tej ostateczności!

Każdy z poważniejszych zbieraczy żywi w duchu nadzieję, że może właśnie jego znaczki otrzymają nagrodę na wystawie i ambicje te są nieraz podobnie śmieszne jak owych Anglików z powieści humorysty Wodehouse, którzy starali się o wyhodowanie najtłustszej świni.

Zbiór ogólny w dosłownem tego słowa znaczeniu nie nadaje się zupełnie na wystawę, gdyż już objekt o 30000 różnych znaczkach zapełniłby wszystkie sale. Pewnie, że i taki zbiór byłby ciekawy, zwłaszcza dla laika, któremu imponowałaby ilość, ale uprzywilejowanie jednego najzasobniejszego nawet w Polsce posiadacza (ciekawe bardzo kto nim jest?), oburzyłoby tysiące innych współzawodników.

Pierwszeństwo uzyskają więc w komisji „cenzorów" zbiory specjalne i komplety różnych państw. Naturalnie, że weźmie się tu pod uwagę i zewnętrzny wygląd jak i ułożenie, ale pod tym względem pedantyzm amatorów zaspakaja nawet bardzo wysokie wymagania. Nie wiadomo jeszcze jaką powierzchnią dysponować będzie komitet, i jaką cenę będzie musiał zapłacić (!) wystawcy za metr kwadratowy. W każdym jednak razie zobaczymy tam wszystkie skarby zgromadzone przez Polaków i już dzisiaj możemy sobie powiedzieć: „Do zobaczenia na Wystawie w Warszawie w 1938 roku".

Wszystkie szczegółowe dalsze wiadomości podawać będziemy natychmiast po otrzymaniu komunikatów **Witold Horain.**

Licytacje: Dorotheum Wien I. Dorotheergasse 17, wydaje pismo „Nachrichtenblatt für Briefmarkenauktionen", (które odbywają się w każdy wtorek i piątek).

Dokończenie ze str. 33.

sportowa doszła do wielkiego rozwoju, święci triumfy. Nic też dziwnego, że krata szkocka stała się wkrótce pożądanym tematem dekoracyjnym krawatów, pończoch, kamaszy, chustek, pledów itd.

Zasadniczo tartany nosiły tylko klany górskie, ale później również i mieszkańcy nizin przyswoili sobie własne tartany. Wobec tego, że strój ten miał znaczenie polityczne utrzymując spójnię Szkotów, wrogich Anglikom, rząd angielski wydał w r. 1747 ustawę, zakazującą noszenia tartanów pod karą... deportacji! Istniały zresztą różne stroje szkockie, zależnie od okoliczności, w jakich się je nosiło, a więc inny na polowanie, i inny na pogrzeb, na uroczystości itd. Długi szeroki kawał materjału, którym owijali się Szkoci, zwano „a belted plaid", ujęty w pasie przez skórzany pas, tworzył górną i dolną część ubrania. Wypada zaznaczyć, że dom Stuartów posiadał również własny tartan, przedstawiający na czerwonem tle kratę niebieską i żółtą, starszy zaś tartan Stuartów przedstawiał wzór: na białem tle kratę czerwono-zielono-żółtą.

W chwili, kiedy stroje ludowe tak bardzo są w modzie, kiedy uczeni, artyści i literaci zainteresowali się folklorem, piękne tradycje klanów szkockich, będących swym trybem życia, zbliżone do ludu, jakkolwiek, jak powiedzieliśmy, o rycerskich tradycjach, są dowodem jak silnemi są tradycje, wyrosłe w wielowiekowej ewolucji w pełnych romantyzmu górach Szkocji.

Dokończenie ze str. 35.

szywamy z sobą tak, aby część w kratę znalazła się na wierzchu dłoni. Brzegi zeszycia obszywamy następnie po prawej stronie naokrętkę podwójną czerwoną włóczką, imitując szycie skórką Brzegi mankietu wykończamy czerwonemi półsłupkami.

Model 2 składa się z czapki, szala i rękawic. Ponieważ ogólne wskazówki co do wykonania tych rzeczy są we wszystkich następnych modelach takie same, podajemy je teraz. Modele te można wykonać z włóczki „Trójkąta w Kole" „Polarnej", lub „Klubowej" na drutach nr 2,5 albo 3. Przerabiamy w okrążeniach z wyjątkiem szala w modelu **nr 3.** Przerabiamy stale wprost, używając naraz 2—3 kłębków włóczki, każdy w innym kolorze. Nitkę nieużywaną prowadzi się od spodu roboty i nabiera znowu, gdy zajdzie potrzeba. Należy jednak bardzo uważać, aby nie pościągać roboty. Jeżeli całe okrążenie wykonujemy bez jednego z kolorów, wtedy odpowiednią nitkę zostawiamy wolno i nabieramy w następnych okrążeniach. — Jeżeli daną część roboty musimy wykonać w rzędach, idących tam i zpowrotem, wtedy przerabiamy po lewej stronie nawywrót, po prawej wprost, a nie używane nitki prowadzimy stale po lewej stronie roboty (a więc przerabiając nawywrót przed oczkami). Rękawice zaczynamy od góry mankietu i przerabiamy w okrążeniach najpierw 2 okrążenia granatowe, 2 żółte, dalej raz **wzór nr II**, rząd żółty, rząd granatowy i **wzór nr I**. Każda kratka na wzorze oznacza 1 oczko, pusta kratka oczko żółte, X oznacza oczko czerwone, kropka oczko granatowe. Część wzoru odgraniczona linją, daje motyw, który powtarza się wszerz roboty. Czytamy wzór od dołu ku górze, rzędy od prawej ku lewej, jeśli robimy w okrążeniach. Wzór przedstawia wygląd desenju po prawej stronie roboty. Objaśnienie to odnosi się do wszystkich dalszych wzorów, więc nie będziemy go powtarzali. — Dalej powtarzamy **wzór nr II.** Następnie ujmujemy oczka na całym obwodzie i wykonujemy dłoń rękawicy w okrążeniach granatową włóczką. Na klin na wielki palec przerabiamy jako oczko przekręcone nitkę między oczkami na prawo i na lewo od jednego oczka i powtarzamy to co 4 rzędy, póki klin nie jest tak szeroki, jak 1/3 poprzedniej ilości oczek. Teraz przerabiamy równo do wysokości początku wielkiego palca. Tu zbieramy oczka dłoni na nitkę pomocniczą, a na oczkach klina wykonujemy wielki palec w okrążeniach, dodając 4 nowe oczka od strony dłoni. Zakończamy palec, ujmując w czterech równo rozdzielonych miejscach. Dłoń wykonujemy w okrążeniach na pozostawionych oczkach i nowych oczkach od wielkiego palca. Zakończamy dłoń, ujmując w każdym rzędzie, w 4-ech miejscach leżących po 2 od strony palców wskazującego i małego. — Czapeczkę zaczynamy od dołu, na obwód 50 cm. Przerabiamy granatową włóczką, ściągaczkę pojedynczą na wysokość 2,5 cm, poczem raz **wzór nr II**, raz **wzór nr I** i raz **wzór nr II.** Następnie zakończamy czapeczkę, ujmując w 8 równo rozdzielonych miejscach. — Ostatnie oczka ściągamy i przyszywamy pompon w kolorach wzoru. Ilość oczek mankietu i czapki oraz szala musi być podzielna przez 8. Szal długi na 120, o obwodzie 40 cm wykonujemy w okrążeniach, granatową włóczką, tylko na końcach wykonujemy raz układ deseniowy, jak na mankiecie. Brzegi wykończamy frendzlą, przywiązaną szydełkiem.

Model nr 3 składa się z rękawic, czapki i szala. Na wszystkich tych przedmiotach powtarzamy deseń następujący: raz **wzór nr VI**, raz **wzór nr VII**, raz **wzór nr VI**. Kropki na wzorze oznaczają oczka bronzowe, XX oczka zielone, puste kratki oczka białe. Ilość oczek musi być podzielna przez 34. Część wzoru oddzielona linją, oznacza fragment, powtarzający się. Na mankietach **wzór nr VII** powtarza się wszerz 2 razy, na końcach szala raz (przerabiać tam i zpowrotem), na czapce 3 razy. Rękawice i czapkę wykonujemy, jak w **modelu 2.** Dłonie rękawic zielone. Szal zielony, z wyjątkiem deseniowych końców przerabiamy zwykłym ściegiem patentowym. W pierwszym rzędzie przerabiamy naprzemian 1 oczko wprost, 1 zdejmujemy, nabierając nitkę na drut. W następnych rzędach zdejmujemy z nabraniem nitki oczka poprzednio przerabiane, zaś oczka zdjęte przerabiamy wprost razem z nałożoną na nie nitką.

Model 4. Szal, rękawice i czapkę wykonujemy, jak w poprzednich modelach, zaczynając każdą część wzorem **nr III.** Kratki puste oznaczają oczka białe, kropki oczka czarne. Ten sam motyw powtarzamy na przegubie rękawic i u góry deseniowych końców szala. Pozostałe części wykonujemy niebieską włóczką „Klubową" marki „Trójkąt w Kole" ściegiem jersej, nie uważając na wzór. Wzór wyszywamy na gotowych częściach według rysunku technicznego **nr IV i V**, gdzie puste kratki oznaczają niebieskie oczka tła. XX oznaczają kolor biały, kropki kolor czarny. — Czapkę wykonujemy w formie równego worka, który u góry zeszywamy na płasko. Na bokach czapki wyszywamy 2 razy podane motywy. Czapka podana przy **modelu 1.** Wyszywamy ściegiem trykotowym, prowadząc nitkę tak, jak przy robocie na drutach. Wszystkie części gotowe rozprasowujemy silnie. **Mieczysława Drozdowska.**

PRZED Świętami i PO Świętach

12 RECEPT WIGILIJNYCH

ZBIGNIEWA GROTOWSKIEGO

Liczni nasi Czytelnicy zwracali się do nas z zapytaniami, jak urządzić święta. Poniżej zamieszczamy kilka praktycznych przepisów świątecznych. Przepisy te należy wyciąć i schować.

1. KUPIĆ RYBKĘ. W tym celu należy iść na targ. Unikać kupowania grubych ryb, które przeważnie od głowy cuchną. O ile idąc na targ przepijesz pieniądze, które dostałeś od żony na rybkę — możesz się potem wytłumaczyć, że rybka ci się wyrwała z ręki i uciekła. Gdy mimo to żona będzie się na ciebie gniewać, nazwiesz ją czule „Moją złotą rybką". Wtedy żoneczka będzie chciała być rzeczywiście podobną do rybki, zachowa więc zimną krew i będzie milczała. Gorzej jest, gdy zapragnie być naprawdę złotą rybką i będzie chciała, żebyś ją ozłocił. Wtedy powiesz, że można ozłocić tylko rzeczy, które wiesza się na choinkę, a tybyś tego nie przeżył, raczej sambyś się wpierw powiesił itd.

Wtedy zacznie się rozmowa na temat, kto kogo przeżyje, żonka się rozpłacze i zapomni o rybce.

2. RYBKA LUBI PŁYWAĆ. Wiadomą jest powszechnie rzeczą, że rybka lubi pływać. Niestety sama nie potrafi mówić, więc ty musisz za nią się wypowiedzieć. Wytłumacz w domu delikatnie, ale stanowczo, że nic tak nie daje pewności siebie, jak potężna baterja wódek w domu. Wtedy nie lękasz się żadnego ataku. Oczywiście twoja wymowniejsza połowa odpowie ci, że trzeba będzie sprowadzić też baterję obrony przeciwko zagazowaniu. Wtedy oświadczysz jej, że śmiało patrzysz niebezpieczeństwu w oczy i nie dasz się byle wódce położyć na obie łopatki. Nie wolno więc zapomnieć o kupieniu trzech tuzinów flaszek alkoholu. W skromniejszych domach można wyrzec się jednego tuzina.

3. ZAPROSIĆ GOŚCI? Owszem — należy nawet zaprosić gości. Możesz naprzykład do liczniejszych rodzin znajomych zatelefonować, aby przyszli odwiedzić cię w święta i pomóc przy pielęgnowaniu chorej na dżumę ciotki. Są tacy, którzy zabarykadowują się na święta. Model takiego „domu otwartego" na święta zamieszczamy obok. Nad wejściem można umieścić napis: „Czem chata bogata tem rada", a pod spodem: „Uwaga, zły pies".

4. UBRAĆ CHOINKĘ. Choinkę należy ubierać w najgłębszej tajemnicy przed dziećmi i żoną. Żonie napewno krajałoby się serce, gdyby widziała, jak obsypujesz inną błyskotkami, łańcuchami i włosami anielskiemi. Rozpłakałaby się i powiedziała „A ja nie mam co na siebie włożyć". A potem obgadałaby jeszcze choinkę,, że jest sucha jak tyka i nosi sztuczne włosy anielskie.



Flaszki i flaszeczki świąteczne...

5. PODARKI DLA DZIECI. Małe dzieci trzeba jaknajdłużej utrzymywać w błogiem mniemaniu, że podarki i choinki dostają się do ich pokoju drogą nadnaturalną. Można im powiedzieć, że wszystkie te piękne rzeczy i świecidełka przyniósł aniołek. Młodszym dzieciom, które mają naprawdę nieskażone serce — można nawet powiedzieć, że wszystko to dostał tatuś za wierną służbę od władz.

6. WYSŁANIE ŻYCZEŃ ŚWIĄTECZNYCH. Nie zapomnij wysłać życzeń świątecznych. Oczywiście nie musisz pisać, czego życzysz twym znajomym. Domyślą się doskonale sami. Twoim dłużnikom możesz napisać delikatnie że życzysz im wzbogacenia się. Oczywiście po to, aby mogli oddać ci twoje pieniądze. To samo możesz napisać wierzycielom. Niech się wzbogacą, aby nie żądali od ciebie pieniędzy.

7. NAKRYCIE STOŁU DO WILJI. Z wielką pieczołowitością należy przystąpić do nakrywania stołu na wilję. O ile zaprosiłeś kogoś z obozu rządzącego, nie stawiaj na stole menażek. W razie, gdy w wieczerzy bierze udział większa ilość osób odmiennych przekonań politycznych nie należy podawać do ryby noży, gdyż goście gotowi się pobić.

8. TEMATY ROZMÓW W CZASIE ŚWIĄT. W czasie świąt powinien panować zupełny rozejm. To też najlepiej ustanowić karę za każde słowo, jakie się wypowie o polityce. W ten sposób dzieci nie będą uczyły się brzydkich słów. Pamiętajmy, że słowa takie jak „prokurator", „ława oskarżonych", „nadużycia" — powinny być wykreślone z naszego słownika w czasie świąt. Pamiętajmy więc — ani słowa o polityce!

9. ODWIEDZANIE ZNAJOMYCH. W czasie świąt można odwiedzać znajomych. W tym celu należy udać się ostrożnie na palcach pod drzwi mieszkaniowe naszych znajomych i tam zapukawszy zawołać: „Otwierać — policja". Dopiero o ile nie otworzą, można użyć siekiery dla wyważenia drzwi. Nie zapominajmy jednak, że należy naprzód stosować łagodną perswazję a potem dopiero uciekać się do gwałtowniejszych środków.

10. JAK ZACHOWAĆ SIĘ PO ŚWIĘTACH. Przedewszystkiem należy napisać list do biura, w jakiem pracujemy, że jesteśmy ciężko chorzy. Następnie należy zawiadomić lekarza, że dostaliśmy ataku serca. Wtedy przyjdzie lekarz i przyjrzawszy się nam zapyta: „Ile stopni"? Wtedy odpowiemy z niewinną miną: „Gorączki nie mam". A na to lekarz: „Ale ja się pytam ile stopni miał spirytus, który pan pił".

11. WYKUPYWANIE WEKSLI. Nie zapomnij po świętach, że zbliża się już termin wykupywania weksli. Ostatecznie możesz się zasłonić zasadą: „U Żydów nie wykupuję weksli". O ile to nie pomoże — musisz płacić.

12. URLOP POŚWIĄTECZNY. Po spędzeniu świąt najwyższy czas pomyśleć o urlopie wypoczynkowym. Nareszcie przecież musisz wypocząć po tych świątecznych kłopotach.



Są tacy, którzy zabarykadowywują się na święta...

To warto poznać..

NOWE KSIĄŻKI.

„DNI POWSZEDNIE PAŃSTWA KOWALSKICH“ MARJI KUNCEWICZOWEJ. Ukazała się na półkach księgarskich „powieść radjowa“ Marji Kuncewiczowej, tegorocznej laureatki m. st. Warszawy. Pierwotnie miała autorka opracować pewien materjał dydaktyczny, dotyczący zagadnień z życia codziennego w formie audycyj radjowych. Wówczas to wpadła autorka na pomysł stworzenia powieści mówionej, związanej fabułą: życiem państwa Kowalskich. To młode małżeństwo podsłuchujemy niejako za pośrednictwem autorki, która ukazuje nam różne epizody z ich codziennego bytowania. Każdy epizod zaopatruje Kuncewiczowa w nastrojowy wstęp, poczem każe mówić tym dwojgu. Rozmawiają oni stylem prostym i jasnym, przyczem dydaktyczne tendencje nie narzucają się zbyt natarczywie lub ostentacyjnie; wynikają raczej z odpowiedniego doboru sytuacyj i tematów, niż z takiego czy innego oświetlenia przez autorkę. To też rychło zaczynamy naprawdę przejmować się losem państwa Kowalskich, stają się oni bliscy czytelnikowi. Wiemy, z jaką niecierpliwością oczekiwali radjosłuchacze na audycje Kuncewiczowej. To samo trzeba powiedzieć o czytelnikach tego utworu, którzy z przejęciem będą śledzić „dni powszednie“ Ireny i Pawła. Irena pracuje w magazynie mód, Paweł jest nauczycielem szkoły powszechnej, muszą dobrze ściskać grosze, aby sobie stworzyć własny dom, własne gniazdko rodzinne. Autorka odsłania ich drobne, a przecież jakże istotne dla ukształtowania się życia, kłopoty i zabiegi: poszukiwanie mieszkania, urządzenie wnętrza itp. Wrażenia z filmu, koncertu, lektury, magazynu Ireny, pobytu w Zakopanem i w Kazimierzu nad Wisłą — oto, co splata się na niewyszukane, a przecież zajmujące życie państwa Kowalskich. Nie brak też wzajemnych rozdźwięków i konfliktów.

Jak dalece utrafiła Kuncewiczowa w odpowiedni ton w ujmowaniu życia państwa Kowalskich, o tem świadczy mnóstwo listów, nadsyłanych z różnych stron kraju do Polskiego Radja. Pisywano listy wprost do państwa Kowalskich, wyrażając im sympatję lub ostrzeżenie. Ta para stała się kimś żywym, wyszła z ram utworu literackiego: „Poznałem w was i siebie i innych najbliższych — pisał m. in. pewien radjo-słuchacz ze Lwowa — bo tak, jak my wszyscy, łamaliście się z trudnościami codzienności, zapełnialiście małemi radościami i małemi smutkami swe życie — byliście zwyczajnymi ludźmi...“

Ba, znaleźli się autentyczni państwo Kowalscy, którzy prosili o dalsze audycje tej powieści, bo Irena i Paweł „wchodzą w życie nasze...“ Inne małżeństwo dziwiło się, skąd autorka zna ich życie, bo to, co mówią Kowalscy, zdaje się świadczyć, że Kuncewiczowa zna ich osobiście!...

Nie ulega wątpliwości, że autorka znalazła klucz do serca licznej rzeszy czytelników. **J. J.**

ZYGMUNT NOWAKOWSKI: GAŁĄZKA ROZMARYNU. Nie pamiętam takiego „wypadku“, by utwór sceniczny ukazywał się w wydaniu książkowem równocześnie prawie z premierą. Tymczasem „Gałązka rozmarynu“ wyszła właśnie tuż po pierwszych, pełnych sukcesu wieczorach w teatrze Polskim w Warszawie. Jest to niewątpliwie także objaw, dający do myślenia i stwierdzający niezwykłą popularność Nowakowskiego. „Gałązkę“ wydała pięknie Książnica-Atlas, jako tom pierwszy wydawnictwa „Teatru Polski żywej“, w czytaniu jest równie barwnym i fascynującym utworem, jak na scenie dla widza. Pewne zaś odcienie stylu, nastroju i „lwiego pióra“ autora lepiej się nawet odczuwa przy lekturze, niż z widowni.

NA SCENIE.

BYDGOSZCZ. Nowa sztuka Stefana Kiedrzyńskiego pt. **Panna Cocktail**, wystawiona na scenie bydgoskiej, maluje warszawski świat dancingów. Bardzo dobrze spisała się w roli głównej p. Hanka Brochocka. Pozatem należy wymienić wśród wykonawców eleganckiego barona Kierczyńskiego, Serwińskiego Rekowskiego, Arczyńską.

ŁÓDZ. Na gościnne występy Węgierki w Teatrze Polskim zaprezentowano sztukę M. Kennedy'ego **Tessa**, graną przed rokiem z wielkiem powodzeniem w Warszawie. W roli Doddy'ego wystąpił Węgierko, zdobywając wielkie uznanie publiczności.

WARSZAWA. Dyr. Trzciński wystawił w Teatrze Letnim bezpretensjonalną, a wesołą krotochwilę wiedeńskiej spółki autorskiej F. Arnolda i E. Bacha pt. **Pod zarządem przymusowym.** Śmiech panuje na widowni, przyczem niemałą zasługę mają tutaj wykonawcy, przedewszystkiem zaś Znicz (w roli buchaltera Haselhuhna). Znicz sypie jak z rękawa zabawnemi gierkami. Inni starają się dostroić do tego tonu. P. Martini z poświęceniem robi ze siebie prowincjonalne „czupiradło“, natomiast Niemirzanka odtwarza z werwą postać divy rewjowej. Trudno nie wspomnieć o tak wytrawnych aktorach, jak Chmurkowski, Norski, T. Frenkiel. Żabczyńskiemu przypadła rola amanta, zdobywającego mimo przeszkód, serce wybranej boginki.



Niedziela, 26 grudnia.

9.00 Transmisja nabożeństwa z kościoła św. Krzyża
10.30 Gioacchino Rossini: „Cyrulik Sewilski“ — opera komiczna.
12.03 Poranek symfoniczny z Wilna.
13.10 „Włostowska Kłonica“ — legenda sandomierska.
13.30 Koncert rozrywkowy.
15.00 „Po kolędzie“ — słuchowisko regjonalne.
15.45 „Jak to dzieci do Betlejem wędrowały“ — audycja dla dzieci.
16.05 Koncert solistów z Krakowa.
16.45 „Kowalscy się odnaleźli“ — powieść mówiona.
17.00 Muzyka taneczna ze Lwowa.
18.30 „Siedem gwiazd“ — poemat Mikołaja Kopernika w Chrystusie Jezusem zwanym.
19.30 „Słynni wirtuozi“ — płyty.
21.00 „Z Tońkiem i Szczepkiem pod Bożem drzewkiem“ — ze Lwowa.
21.30 „Z mojego warsztatu“ — szkic literacki dr T. Żeleńskiego-Boya.
21.45 Lekka audycja z Łodzi.
22.30 Do tańca gra Mała Orkiestra P. R.

Poniedziałek, 27 grudnia.

15.45 „Z pieśnią po kraju“.
16.15 Orkiestra Dyrekcji Tramwajów i Autobusów Miejskich.
17.00 „Kowalscy się odnaleźli“ — powieść mówiona.
17.15 Koncert skrzypcowy Roberta Schumanna —
17.50 Pogadanka sportowa.
18.10 Humorystyczne piosenki Chóru Dana.
19.30 „Dyskutujmy“: „Bilans dobrej woli“.
20.00 Koncert orkiestry mandolinistów „Kaskada“ (z Wilna).
21.00 Koncert rozrywkowy.
22.00 „Polskie wesele“ — suita baletowa.

Wtorek, 28 grudnia.

15.45 „Rzeczy ciekawe z pięciu części świata“ — audycja dla dzieci
16.15 Utwory na dwa fortepiany.
17.00 „Kowalscy się odnaleźli“ — powieść mówiona.
17.15 Muzyka salonowa.
17.50 „Po białej stopie“ — pogadanka.
19.00 „Nieśmiertelne książki“ — wieczór VII.
19.30 Recital skrzypcowy Tadeusza Ochlewskiego.
21.00 Maurycy Ravel: „Dziecko i czary“ — transm. ze studjo Paris PTT.
22.00 Sylwetki kompozytorów polskich.

Środa 29 grudnia.

15.45 „Chwilka pytań“ — pogadanka dla dzieci.
16.00 Skrzynka językowa.
16.15 Radujcie się narody (kolędy egzotyczne).
17.00 „Kowalscy się odnaleźli“ — powieść mówiona.
17.15 Recital wiolonczelowy Tadeusza Lifana.
18.10 Muzyka lekka.
19.20 Recital śpiewaczy Maryli von Wolley.
20.00 Z biegiem Dunaju — koncert rozrywkowy.
21.00 Koncert chopinowski w wykonaniu Zygmunta Dygata.
21.45 Piękno mowy polskiej Franciszka Siedleckiego.
22.00 Koncert rozrywkowy.

Czwartek, 30 grudnia.

15.45 Wędrówki muzyczne — audycja dla młodzieży.
16.15 Orkiestra mandolinistów.
17.00 „Lwowska skarbnica kultury narodowej“ — reportaż.
17.15 Recital fortepianowy Margerity Trombini-Kazuro.
17.50 Pogadanka sportowa i wiadomości sportowe.
18.35 „Kontrakt ślubny“ — słuchowisko.
19.30 Kolędy polskie, kolędy szwedzkie, transmisja ze Sztokholmu.
20.00 „Saldo piosenek za rok 1937“, lekka audycja.
21.00 „Preliminarz piosenek na r. 1938“ — lekka audycja.
21.45 „Uziemiony Eros“ — szkic literacki.
22.00 Koncert kameralny.

Piątek, 31 grudnia.

15.45 Gawęda Kornela Makuszyńskiego dla dzieci starszych.
17.00 „Nasze midinetki“ — felieton.
17.15: Orkiestra rozrywkowa.
18.00 Komunikat śniegowy z Krakowa.
18.10 Motywy egzotyczne w muzyce jazzowej.
18.55 „Brat znajduje brata“ — komedja radjowa.
19.30 Kolędy polskie (transmisja do Szwajcarji). Kolędy szwajcarskie (transmisja ze Szwajcarji).
20.00 Koncert rozrywkowy.
21.00 Sylwester w Lublinie.

Sobota, 1 stycznia 1938 r.
Nowy Rok.

9.00 Transmisja nabożeństwa ze Lwowa.
10.30 Boże Narodzenie w twórczości rozmaitych kompozytorów.
11.30 „Kalendarzowe kartki“ — słuchowisko muzyczne dla dzieci.
12.03 „Podnieś rękę Boże Dziecię“, kolęda.
12.15 „Sonety krymskie“ A. Mickiewicza, muzyka St. Moniuszki.
13.30 Muzyka obiadowa: Melodje z całego świata.
14.45 Audycja dla wsi.
15.30 Gramy do tańca.
17.00 Kurant staroświecki „Rok staropolski“.
18.00 Muzyka angielska.
19.00 Audycja dla Polaków zagranicą.
19.45 Popularny koncert.
22.00 Muzyka taneczna.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa“, zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.